

- PROGRAM TV NA TYDZIEŃ ● HOROSKOP JAPONSKI NA CAŁE ŻYCIE
- Lech Kaczyński o Lechu Wałęsie ● Jaki samorząd? ● „08 zgłoś się!”
- Z policyjnej przeszłości ● „Zabić Kottańskiego i rodzinę jego!”
- Przebieranka komunistów ● Suterena ● „Łupaszko”

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

# relacje

LUBLIN, 15-21.02.1990R.

NR 7(57)

CENA 800 ZŁ



Rumunia — pierwszy miesiąc wolności. Fotoreportaż na str. 8—9.  
Fot. Jacek Łęski jr

## O WAŁĘSIE ORAZ O WAŁĘSIE

**Rozmowa z Lechem Kaczyńskim, senatorem,  
członkiem Prezydium Krajowej Komisji  
Wykonawczej NSZZ „Solidarność”**

— Słyszałem, że jest pan jednym z tych, którzy najbardziej oddali się idei „Solidarności”, poświęcając dla niej nawet swoje życie rodzinne?

— Przesada, przecież mam żonę i dziecko, więc muszę wobec nich sprawować godnie i uczciwie obowiązki męża i ojca. Ponadto z natury jestem człowiekiem bardzo rodzinnym. Ale nie będę też ukrywał, że czasu na życie prywatne mam bardzo mało. W Prezydium obecnie mamy tylko trzech stałych członków. Trzy osoby, które pełnią rolę kierowników bieżącej działalności związkowej. Przypadła mi rola głównego koordynatora pracy większości biur w całym naszym związkowym systemie. Na osiem biur sześć podlega mnie. Wynika z tego, że chyba najwięcej mam pracy. Sądzę, że jest to stan przejściowy. Pod nawąłem pracy miewam często chwile, kiedy najchętniej zrezygnowałbym z tej działalności. Ale, jak dotąd, wytrzymuję.

— To dobrze, bo ponoć w niedalekiej przyszłości ma pan zastąpić Lecha Wałęsę, który kilkakrotnie obwieszczał, że niebawem odsunie się na bok...

— Nie traktowałbym poważnie tych oświadczeń Lecha. A gdyby rzeczywiście zrezygnował, w co — powtarzam — wątpię, to nie sądzę, ażebym właśnie ja go miał zastąpić. W tej chwili zastępuję go jako nieformalny jego zastępca.

— To dziwne. W kraju plotkuje się o odejściu Wałęsy i zastąpieniu go przez pana, natomiast pan twierdzi, że jest to praktycznie niemożliwe.

— Sądzę, że jest to niemożliwe, bowiem jako inteligent z uczelni — również jako człowiek pochodzenia inteligenckiego — nie bardzo chyba nadaję się na szefa związku zawodowego. Ale o czym my mówimy, przecież Wałęsa i tak nie odejdzie.

Dokończenie na str. 10

# ABECADŁO SAMORZĄDNOŚCI

Piotr Kryczka

„RZECZPOSPOLITA samorządna” — to hasło przebudowy państwa polskiego, sformułowane w 1981 roku przez „Solidarność”. Po kilku latach nieobecności, po „okrągłym stole” powróciło znowu jako przedmiot żywego zainteresowania i dyskusji. Kiedy jednak zaczęło się konkretyzować, szczególnie w postaci inicjatywy ustawodawczej Senatu i przygotowywanej ustawy o samorządzie terytorialnym — ujawniło wiele problemów, dotyczących samych fundamentów przyszłego kształtu samorządu. Dzieje się tak dlatego, że tradycja samorządności została w Polsce przerwana w 1950 roku (ustawa o jednolitych organach władzy państwowej), a późniejsze lata wprowadziły wiele zamętu przez fakt, że w istniejące kategorie pojęciowe wtłoczyły zupełnie inną treść znaczeniową, zmieniając całkowicie ich pierwotny sens.

Obecnie stoimy przed zadaniem wprowadzenia do świadomości społecznej podstawowej wiedzy o samo-

rzędzie i formach społecznych z nim związanych. Wobec faktu, że nasza aktualna wiedza w tej dziedzinie jest z reguły cząstkowa, a nierządka — fałszywa, z konieczności zaczynać trzeba niemal od abecadła. Punktem wyjścia we wszystkich dyskusjach na temat samorządu terytorialnego musi być wyróżnienie trzech bardzo ściśle ze sobą powiązanych kategorii społecznych, a mianowicie: samorządności, społeczności lokalnej i samorządu terytorialnego w sensie ścisłym.

NAJOGÓLNIJ samorządność można określić jako prawo stanowienia o sobie zbiorowości grup społecznych czy korporacji, rządzenie się samemu. Opiera się na uznaniu podmiotowości jednostek i grup. Od dawna była podstawą demokracji, niezależnie od tego, czy była to samorządność korporacyjna, pracownicza, spółdzielcza lub terytorialna. Samorządność była atrybutem już niektórych pierwotnych form życia społecznego, postawionych wobec

rozwiązywania problemów życia zbiorowego. Na niej opierały się struktury społeczne i polityczne pewnej części państw-miast w starożytnej Grecji, wielu republik miejskich w średniowieczu, organizacji cechowych i podobnych im korporacji zawodowych. Ona także znakomicie ułatwiła powstawanie i sprawne funkcjonowanie kółek rolniczych w Poznańskim już w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, tak skutecznie podejmujących wyzwanie wobec naporu germanizacji.

Historycznie ukształtowała się ścisła symbioza samorządności i społeczności lokalnych, tj. takich form życia społecznego, które ze względu na bliskość zamieszkiwania wytworzyły między mieszkańcami zarówno określone wzajemne zależności, oczekiwania oraz formy współdziałania, jak i właściwe dla nich normy i wartości społeczne. W praktyce były to

Dokończenie na str. 11

## relacje

## ZE ŚWIATA

● Na własną prośbę złożył wizytę w Związku Radzieckim kanclerz RFN, Helmut Kohl. Po kilkugodzinnych rozmowach z Eduardem Szewardnadze i Michaiłem Gorbaczowem, strona radziecka oświadczyła, że nie będzie przeciwstawiać się zjednoczeniu obu państw niemieckich. H. Kohl stwierdził, że „tylko naród niemiecki ma prawo rozstrzygnąć problem, czy chce żyć w jednym państwie”. Nie poruszano kwestii gwarancji granic w powojennym układzie europejskim. Tym samym sprawa zjednoczenia Niemiec została przesądzona. Radość delegacji niemieckiej była tak wielka, że już na pokładzie samolotu otwarto... radzieckiego szampa. Kanclerz Kohl potwierdził swe wcześniejsze oświadczenie, że przyszłe Niemcy nie będą neutralne. Trudno sobie wyobrazić, by mogły one należeć równocześnie do obu paktów militarnych.

● W RFN zaniechano budowy nowego centrum prasowego, które miało powstać w Bonn, gdyż nie wiadomo jeszcze, czy stolicą przyszłych Niemiec nie będzie Berlin. Poinformował o tym rzecznik rządu zachodniemieckiego, H. Klein.

● Według spekulacji prasy zachodniej, RFN ma spłacić znaczną część

radzieckiego zadłużenia.

● „Wielkie plany pokoju mogą poprzedzać wielką wojnę” — powiedziała Margaret Thatcher.

● Ujawniono stan osobistego konta Ericha Honeckera. Wynosi on 100 mln marek zachodniemieckich.

● Na posiedzeniu plenarnym Komitet Centralny KPZR zrezygnował z konstytucyjnego przywileju o kierowniczej roli partii komunistycznej w państwie. Potępiono jednocześnie sesję komunistów litewskich.

● Borys Jelcyń w wywiadzie dla „Washington Post” po raz kolejny skrytykował kierownictwo KPZR za brak radykalnych reform i oświadczył, że w razie dalszej stagnacji politycznej i gospodarczej założy własną partię.

● 71-letni czarnoskóry przywódca Afrykańskiego Kongresu Narodowego, Nelson Mandela, został zwolniony z południowoafrykańskiego więzienia, w którym spędził 27 lat. Po wyjściu na wolność Mandela spotkał się z premierem RPA, Frederikiem de Klerkiem, który określił go jako „mądrego i pełnego przyjaźni człowieka”. Przywódca murzyński stwierdził, że nie widzi szans na poważne rozmowy, dopóki nie zostanie zniesiony stan wyjątkowy i monopol władzy białych. W czasie demonstracji powitalnych w Kapsztadzie policja zastrzeliła pięciu Murzynów.

● Prezydent USA, George Bush, przeprowadził rozmowę telefoniczną z uwolnionym Mandelą i zapewnił go,

że Stany Zjednoczone wykorzystają swe wpływy, aby doprowadzić do powstania nowego społeczeństwa w RPA. N. Mandela i F. de Klerk zostali zaproszeni do USA.

● Premier Rzeczypospolitej przebywał z wizytą w Wielkiej Brytanii. Rozmawiał z Margaret Thatcher, odwiedził prezydenta rządu emigracyjnego, Ryszarda Kaczorowskiego, oraz wieloletniego ministra spraw zagranicznych i prezydenta RP, Edwarda Raczyńskiego. Polska jest winna Brytyjczykom 2 mld dolarów.

● Sekretarz stanu USA, James Baker, odwiedził kolejne państwa Europy Wschodniej — ZSRR, Bułgarię i Rumunię. W Bukareszcie obiecał Rumunom pomoc w wysokości 80 mln dolarów pod warunkiem przeprowadzenia wolnych wyborów i przestrzegania praw człowieka.

● Kierownictwo Komunistycznej Partii Chin oświadczyło, że w Chinach nie może istnieć partia polityczna, która nie będzie akceptować przewodniej roli KPCh, dyktatury proletariatu, socjalistycznej drogi rozwoju oraz marksizmu-leninizmu i myśli Mao Tse Tung. Poza tym prawdopodobnie istnienie innych partii politycznych jest w Chinach możliwe.

● Milion ludzi zgromadzili w Teheranie uroczystości 11. rocznicy rewolucji „w imię Allacha”. Wznoszono okrzyki: „Śmierć Ameryce! Śmierć Izraelowi!” Prezydent Rafсандżani też wznosił okrzyk: „Nigdy nie zaprzestaną walki z szatanem!”

## relacje

## Z KRAJU

● W Pucku uroczystości obchodzono 70. rocznicę powrotu Polski nad Bałtyk. Po mszy świętej przemówienie wygłosił prezydent Wojciech Jaruzelski, kończąc je słowami: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”.

● Sejm Rzeczypospolitej debatował o wyglądzie godła państwowego oraz kształcie przyszłej policji i służby bezpieczeństwa. W trakcie sporu o orla poseł Łopuszański odmówił lewicy parlamentarnej prawa do dyskusji na temat symbolu nowej Rzeczypospolitej. Obrażeni posłowie złożyli wniosek do marszałka Kozakiewicza o ukaranie posła Łopuszańskiego, a Obywatelski Klub Parlamentarny odciął się od swego krewkiego kolegi. Po wizycie Kohla w Moskwie, w obliczu nowego Rapallo, sądzimy, że posłowie zajmą się jednak ważniejszymi sprawami niż krzyk na głowie i gwiazdka w ramionach polskiego orla.

● W kościele Mariackim w Gdańsku modlili się za Ojczyznę Tadeusz

Mazowiecki, Lech Wałęsa oraz grupa posłów i senatorów.

● Luksus oglądania szarej rzeczywistości w kolorowej telewizji kosztuje już 3,5 mln złotych. Płocka Fabryka Maszyn Zróżnicowanych podniósł cenę kombajnu Bizon-Super z 60 na 72 mln złotych. Czekamy na informację o cenie super-kosy.

● Z danych GUS wynika, że ceny detaliczne wzrosły w ciągu ub. roku o 640 proc. W tym ceny żywności o 878 proc., z czego najwyższe w handlu uspołecznionym — 1100 proc., najniższe zaś na targowiskach — 501 proc. W wielu miastach cukier sprzedawany na ulicach jest tańszy o 3 tys. zł niż w sklepach.

● Z braku dostaw radzieckiej ropy i niewypłacalności CPN, rafineria płocka zmniejszyła produkcję o jedną trzecią. Około połowa zakładów przemysłowych w Polsce stoi lub pracuje na znacznie zmniejszonych obrotach.

● Powstał Związek Zawodowy Bezrobotnych.

● Jeden z obywateli naszego kraju, który w grupie kilkunastu osób został wysadzony z pociągu udającego się do Berlina Zachodniego, wioził kilka walizek polskich jaj.

● Tadeusz Fiszbach, lider Unii Socjaldemokratycznej RP, po raz ko-

lejny odrzucił ofertę Aleksandra Kwaśniewskiego co do ewentualnego udziału Unii w majątku byłej PZPR, uważając, że należy on do społeczeństwa i społeczeństwu powinien być zwrócony.

● W magazynach jednego ze szczecińskich muzeów spoczywa popiersie Lenina dłuta mistrza Dunikowskiego. Nie ujrzało ono niestety nigdy światła dziennego, gdyż uwieczniony przez mistrza Włodzimierz Ilicz był ponoć zbyt azjatycki w swym wyrazie.

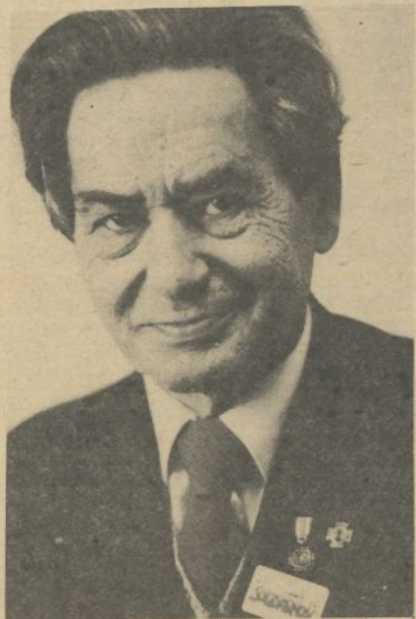
● W Białymstoku utworzono nową partię polityczną — Białoruskie Zjednoczenie Polityczne. Celem partii jest ochrona interesów mniejszości białoruskiej w Polsce.

● Kilka tysięcy ludzi pożegnało senatora Rzeczypospolitej Polskiej, Adama Stanowskiego. Po nabożeństwie w kościele Akademickim KUL kondukt żałobny przeszedł Alejami Racławickimi i Lipową na cmentarz przy ul. Lipowej, gdzie pochowano senatora w Alei Zasłużonych. W ostatniej drodze towarzyszyły Adamowi Stanowskiemu sztandary AK KUL, „Solidarność”, zakładów pracy. Nad trumną przemawiali przyjaciele i towarzysze — broni senatora, przedstawiciele elity intelektualnej Lublina.

(De-Wu)

## Adam Stanowski-„Saski” (1927-1990)

W SALI posiedzeń polskiego Senatu opustoszało kolejne miejsce. Odszedł Adam Stanowski. Ciężka choroba dogoniła Go, nim doznał samorządowych wyborów, z którymi wiązał tak wielkie nadzieje na stworzenie nowej Polski i nowego Polaka. Zawsze podkreślał,



Fot. Waldemar Stępień

że samorządność jest tą częścią państwowości, która przemienia jednostkę w obywatela i decyduje o powodzeniu każdej reformy. Zawsze też mówił, że mądra, z wolności płynąca świadomość jest motorem ludzkich działań i społecznych postaw. Całym życiem dawał świadectwo temu, że wolny człowiek może być społecznikiem w pierwotnym, pięknym znaczeniu, w opozycji wobec zakłamej, skoszarowanej, zastraszonej rzeczywistości.

Młodziutki żołnierz Armii Krajowej, walczył w Powstaniu Warszawskim w plutonie Batalionu „Baszia”, dowodzonego przez plut. pchor. „Piotrusia” — późniejszego profesora Jerzego Kłoczowskiego, mając za towarzyszy broni m.in. powojennych wybitnych uczonych, prof. Chorążego, Pełeryńskiego, senatora Jana Józefa Lipskiego.

Ta formacja ideowego pokolenia, które podjęło tragiczną, ostatnią próbę odwrócenia losów Polski, a walczyć o nią potrafiło nie tylko bronią, ale i talentem, wiedzą, umysłem, ukształtowała — jak wielu innych — Pana Adama i jego życie w powojennej rzeczywistości, którą przecieć nie tak sobie wyobrażali. Pięć długich lat w ciężkim więzieniu we Wronkach nie zmieniło sposobu bycia i stosunku do ludzi tego dobrego i iyesiwego Człowieka.

We wszystko, czym się zajmował, angażował serce i temperament, w dyskusjach był podksekstowany, można było się z Nim często i nie zgadzać, ale trudno Go było nie szanować i nie cenić. Trudno też zliczyć Jego wszystkie społeczne role w ruchu demokratycznej opozycji, w związku „Solidarność”, duszpasterstwie rolników. Bodaż czy nie najwięcej czasu i sił, mimo przecieć kruchego zdrowia, włożył w organizację „Iatających uniwersytetów” a potem, wszechniczy związkowej, docierając ze swymi odczytami do bardzo odległych nieraz miejscowości.

Mieliśmy tę przyjemność gościć Pana Adama w naszej redakcji, był sympatykiem naszego pisma, korzystaliśmy z wymiany poglądów z Nim.

Pomimo bolesnych doświadczeń i upokorzeń, których nie oszczędził Mu czas, nie nosił w sobie nienawiści, goryczy, potrafił szanować odmienne poglądy, ceniąc te wartości, które nie jemu, lecz narodowi przynosiły korzyść. Tym, którzy Go znali bliżej, brak będzie Jego nerwowego przypalania kolejnego papierosa, bezradnego poszukiwania zagubionych notatek, niedbałości o własne sprawy, gdy czas toczył się w takim tempie.

Redakcja

## Z pierwszych

Z PLACU Litewskiego ruszyli pod „biały dom”. Grupa młodych ludzi spod znaku KPN maszerowała Krakowskim Przedmieściem, głośno skandując:

— Ko-mu-niści! Na li-cytację! Wszy-stko, co macie, Pol-sce oddacie! Mło-dzież z partią... się roz-liczy!

Na schodach prowadzących do gmachu Komitetu Wojewódzkiego byłej PZPR przemawiał członek Rady Politycznej KPN, Dariusz Wójcik:

— Domagamy się konfiskaty całego majątku byłej PZPR, zwrotu dotacji oraz zrewaloryzowanych kredytów i obciążenia częścią tych kosztów byłych pracowników etatowych PZPR...

Kilkudziesięciu przechodniów przystaje. Słucha. Odchodzą. Przychodzą inni. Dwóch panów koło pięćdziesiątki między sobą:

— Dobrze mówi. Do sutereny z czerwonymi!

Podpity jegomość wykrzykuje zachrypniętym basem:

— Gówniarze! Do roboty!

Wójcik kończy:

— Domagamy się natychmiastowych działań podnajmowania różnym instytucjom lokali w budynkach byłej PZPR przez postępców peerowskich administratorów. W związku z samowolnym objęciem niektórych komitetów przez SdRP, domagamy się obciążenia finansowego tej partii kwotą wynikającą z bezprawnych działań PZPR.

Kilku wyrostków próbuje drzwi zamknięte. Śmieją się.

— Po ostatnim najściu woleli się zabezpieczyć — rzuca któryś z nich.

Wójcik mówi, że tym razem nie będą wchodzić do środka. Chyba, żeby oni stanęli naprzeciwko.

A ich nie ma. Głucho. Tylko w oknach górnych pięter budynku widać ruszające się firanki.

Wiec skończony.

Nazajutrz dzwonię do KW. Pytam o „pierwszego”.

— Towarzysz Szpringer już tu nie pracuje — odpowiada kobiecy głos w słuchawce. — Łączę z towarzyszem Bissem.

## LISTY

## „Owczarnia 1944”

Ostatnio ukazało się kilka artykułów poruszających sprawę mordu dokonanego przez oddział AL Bolesława Kowalskiego — „Cienia” w Owczarni: Cezary Chlebowski w „Tygodniku Solidarność”, numer 25, 1989; Marek Kliza „Cień nad Owczarnią”, „Sztandar Ludu”, 18 stycznia 1990; Zbigniew Gnat-Wieteska „Owczarnia 1944”, numer 3 i 4 „Relacji”. Podstawą do ich napisania były relacje partyzantów oraz mieszkalców wsi. Chcielibyśmy je uzupełnić o „Raport o dywersji”, przechowywany przez żołnierza Armii Krajowej, korespondenta BiP-u, Annę Korynę, odznaczoną w lutym 1945 roku Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Przytaczamy fragment dotyczący „Cienia”:

643 Raport o dywersji

Załącznik nr 3.

1. Dn. 3.V.44 oddział lotny AK pod dowództwem Żurawia (Ignacy Franciszek Kamiński) przybył do wsi Owczarnia gm. Godów pow. Puławy i zakwaterował we wsi. Dn. 4.5.44 po powrocie z ćwiczeń o godz. 17-tej żołnierze rozeszli się spać. Około godz. 18-tej od strony Chrusiły podsunęli się pod wieś grupa PPR pod dowództwem Cienia (dawnie BCH z Chrusiły) łącznie z bolszewikami i komunistami z Chrusiłek Mazanowskich, Niesiołowie i Sław, zaskakując odpoczywających żołnierzy i otwierając ogień. Wywiązała się walka, którą przerwało, gdyż żołnierze i d-cy oddziału AK, rozpoznawszy Cienia, który niejednokrot-

Dokończenie na str. 14

## sekretarzy nie pozostał już nikt

Jan Biss tłumaczy się brakiem czasu, ale wyraża zgodę na chwilę rozmowy. Po godzinie wchodzi do komitetu. Na parterze przy biurku siedzi portier. Jeszcze kilka miesięcy temu bronił dostępu do partyjnych pokoi. Był ważny. Decydował, kogo i kiedy wpuścić do „naczelstwa”. Dziś siedzi, czyta gazetę i ani mu w głowie spytać, kto wchodzi i po co.

Na górze wieje pustką. Cisza.

— Pracujecie jeszcze? — pytam przechodzącej korytarzem kobiety.

Macha tylko ręką, jakby chciała powiedzieć, że to już koniec. Znika za oszklonymi drzwiami.

Mój rozmówca jest chwilowo zajęty. Wypalam więc „mocnego”, rozglądając się po sekretariacie. Biurko, ława, dwa fotole i biblioteczka z opasłymi tomami Bolszaj Sowietsoj Enciklopedii. Kobieta porządkująca dokumenty mówi, że jest już na wypowiedzeniu. (O będzie robić później, jeszcze nie wie. Ale tu, nawet za podwójną pensję, nie chciałaby dłużej zostać.

Jan Biss prosi do gabinetu. Swoją obecność w KW tłumaczy koniecznością załatwienia wszystkich spraw pracowniczych. Partia przestała istnieć. Ludzie muszą odejść. Większość już to zrobiła. Z 400 osób zatrudnionych w styczniu ub. r. w wojewódzkim „aparacie” i administracji partyjnej pozostało niespełna 75. W tym 40 pracowników politycznych. Zajmują się stanem posiadania rozwiązanej PZPR. Porządkują dokumenty, archiwum, wydają teczkę personalne członkom partii.

Z pierwszych sekretarzy nie pozostał już nikt. Andrzej Szpringer do 30 kwietnia jest na wypowiedzeniu. Jak na razie, nie podjął żadnej pracy. Gustaw Rębacz, I sekretarz KM w Lublinie, objął ponownie stanowisko prezesa spółdzielni „Stilana”. „Pierwsi” w Puławach i Dęblinie, Stanisław Ję-

drych i Henryk Wiejak, powrócili do szkoły. Mieczysław Czernski z Lubartowa przeszedł na emeryturę. W Kraśniku — W. Ostrowski wraca do tamtejszego oddziału PKS. Zdzisław Daniluk ze Świdnika, delegat na ostatni zjazd PZPR, nie przeszedł do pracy w macierzystej WSK. Jest członkiem grupy inicjatywnej SdRP.

— Zdarzają się przypadki — dodaje J. Biss — że nasi towarzysze mają kłopoty z podjęciem pracy w zakładach, z których zostali oddelegowani do partii. W Świdniku i Puławach sekretarze partyjni nie zostali przyjęci na poprzednie stanowiska, bo, jak ich określono, są czerwoni. Wykonują pra-

cę fizyczną, a my nie jesteśmy już w stanie im pomóc.

Jan Biss mówi o sobie: „ostatni Mohikanin”, chociaż swoją przyszłość widzi w szeregach Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Z tym, że, zastrzega się natychmiast, jako zwykły członek, a nie pracownik etatowy. PZPR się skończyła, stwierdza. Ale on nie czuje się oszukany, nie jest ofiarą losu. Wiedział, co robi i gdzie pracuje, a że tak wyszło... No, cóż. Przed laty były programy, była wiara w sukces i nikt specjalnie nie przejmował się wynikami. Dlatego dzisiejszej lewicy, dodaje na zakończenie, potrzebna jest zmiana pokoleniowa, żeby można było odzyskać zaufanie w społeczeństwie. Potrzeba to lata, ale innego wyjścia nie ma.

Z byłym sekretarzem organizacyjno-politycznym KW PZPR, Wiesławem

Brodowskim, rozmawiamy o sytuacji majątkowej.

— Jestem pełnomocnikiem Rady Naczelnej SdRP ds. organizacyjno-technicznych. Stan prawny budynków, którymi dysponowała PZPR, został opublikowany w „Dzienniku Lubelskim”. Dodam tylko, że nie zamierzamy niczego sobie przywłaszczać. Lokal KW traktujemy jako siedzibę przejściową SdRP. Do czasu, aż zapadną decyzje rządowe w tej sprawie. Oddajemy natomiast wszystkie budynki w terenie. W obecnej sytuacji nie byłibyśmy w stanie ich utrzymać, a nowa partia nie potrzebuje tak okazałych obiektów.

Wiesław Brodowski zaprasza jeszcze dzisiaj (7.02.90 r.) na pierwszą konferencję prasową Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej.

# UMARŁ KRÓL...

## Zbigniew Dzieciotek

KMPiK przy ul. Leonarda. Godzina 14. Sala kawiarzarna. Sześciu przedstawicieli nowej partii z przewodniczącym grupy inicjatywnej, Januszem Malinowskim, i sześciu dziennikarzy. Skromnie. Socjaldemokraci mówią o kształcie SdRP. Będą starali się stworzyć swoje struktury w miejscach zamieszkania członków, a nie — jak PZPR — w zakładach pracy. W przyszłości ich administracja w województwie nie przekroczy 50 osób. Co do majątku, sami nie wiedzą, na czym stoją. O nieruchomościach zadecyduje komisja rządowa. Z majątku ruchomego wprawdzie korzystają, ale i tu brak jest jasności w kwestii prawnej.

— Nie czujemy się obecnie właścicielami niczego — podkreśla Janusz Malinowski. — Dopiero po rozliczeniu z rządem przejmujemy to, co zostanie.

chorzy nie opuszczają pałacyku. Przemawiać ma za tym konieczność uspokojenia nastrojów społecznych oraz rzekome zagrożenie dla prowadzonej tam produkcji artykułów spożywczych.

Starszy, podpiły (takich tu wielu) mężczyzna mówi: „Panie, ten narkoman, no... jak mu... Kottański... to człowiek wielki i... głupi! Po co ich tu sprowadził. Bieszczady niech idzie

Na razie czerpią zyski z wynajmu lokali, których zwrotu domaga się m. in. KPN.

O paleniu dokumentów partyjnych w Kraśniku nic nie wiadzą, a w tym, że członkowie byłej PZPR odbierają swoje akta personalne, nie widzą nic dziwnego.

— Poszła plotka — mówi Wiesław Brodowski — że KPN będzie wywieźć te akta na plotach. Więc ludzie chcą je zabrać. To wszystko. Nie ma w tych dokumentach, jak niektórzy sugerują, żadnych tajnych czy też kompromitujących adnotacji. Ale nikt nie chce, żeby jego papiery rozrzucono po mieście.

Nowa partia dopiero się tworzy. Trudno więc, mówili przedstawiciele SdRP, ocenić dzisiaj jej stan liczebny. Rozeszli dotychczas tysiąc deklaracji, czekają na wyniki. Są już jednak sygnały o tworzeniu się pierwszych kół.

Na zarzut kontynuacji pezetpeerowskiej działalności Janusz Malinowski odpowiedział:

— To nie tak. Przede wszystkim ten typ rozmowy po prostu mi nie odpowiada. My nie musimy udowadniać swojej niewinności. Nie zachodzi taka konieczność, a dziś przynależność do SdRP nazwałbym aktem pewnego rodzaju odwagi. Pozostawanie z boku stwarza tylko pozorny komfort bezpartyjności.

Na frontonie „białego domu” wisi tabliczka z napisem: „Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej”. Obok druga: „Dziennik Lubelski”. PZPR skończyła się. Dotychczasowy organ prasowy twierdzi, że jest niezależny. Towarzysz Szpringer już tu nie pracuje.

PS. Już po napisaniu tego tekstu dowiedziałem się, że Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” złożył w Prokuraturze Wojewódzkiej oficjalne doniesienie o niszczeniu materiałów archiwalnych byłego KW PZPR. Śledztwo trwa.

NA mieszkańców Kawęczyna i Rembertowa wieść o sprowadzeniu się w pobliże stycznia br. do pałacyku przy ul. Chełmżyńskiej kilkuosobowej grupy chorych na AIDS i nosicieli wirusa HIV spadła jak grom z jasnego nieba. Nie wytrzymała. „Pertrakcje” mieszkańców z przybyłymi rychno przerodziły się w wielką awanturę.

Gdy zabrakło argumentów, rozsądku i cierpliwości, tubylcy sięgnęli po sztachety, kamienie, nie zapominając jednocześnie o pięściach. Tu i ówdzie w pałacyku poleciały szyby. W bezspornie uzgodnionym i szybko ogłoszonym przez lokalną społeczność ultimatum żądano opuszczenia pałacyku przez chorych najpóźniej do końca stycznia. W przypadku niespełnienia go groźono podpaleniem. Samemu Kottańskiemu proklamowano niechybną śmierć wraz z rodziną. Ustnie i na transparentach. Nie pierwszy zresztą już raz. Gdy jednak groźba przedterminowego spełnienia ultimatum stawała się coraz realniejsza, nocą chłopcy z pałacyku zaczęli walczyć.

Od początku liczyli na pomoc władz państwowych bądź kościelnych. Wysłali listy do prezydenta Jaruzelskiego, Episkopatu Polski, premiera Mazowieckiego, administracji lokalnej. Pomoc nie nadeszła. Pomogli natomiast nieliczni miejscowi i okoliczni ludzie dobrej woli, przynosząc własną lub uzbieraną żywność, odzież — to, co po prostu do życia jest niezbędne. Dozorczyni pałacyku przynosiła im nawet obiady ze stolówki pobliskiego „poprawczaka” dla dziewcząt. Aby pomagać należało mieć bystry wzrok, twarde placy i szybkie nogi.

Na choćby przejściową opiekę ze strony MO chorzy liczyć nie mogli. Aby móc interweniować w bójkach pomiędzy chorymi na AIDS a rembertowską „elitą”, milicjanci powinni używać jednorazowych rękawiczek, a te są nieosiągalne. Poza tym radiowóz jest tylko jeden, funkcjonariuszy mało.

Pałacyk tylko z daleko wygląda interesująco: z dwukolorowej cegły, z wieżyczką. Obiekt zabytkowy i — jak wiele w Polsce — w ruinie. Zniszczone okna, drzwi, podłogi. Na zewnętrznej części muru widoczne spore pełnięcia (więcej takich wewnątrz), odpadają tynki — to skutki sąsiedztwa z ruchliwym szlakiem kolejowym. Jednym słowem, całość do kapitalnego remontu.

# „ZABIĆ KOTAŃSKIEGO I RODZINĘ JEGO”

## Zenon Cieślak

„Monar”, który wcześniej zaopiekował się chorymi na AIDS, a od niedawna również nosicielami wirusa HIV, ma ambicje na miarę potrzeb. Pragnie wyremontować budynek, kupić wóz asenizacyjny, zrobić osobne ujęcie wody, zorganizować opiekę lekarską. Brakuje jednak pieniędzy i chętnych do takiej pracy.

Proboszcz pobliskiej parafii — zarówno przed ekipą telewizyjną, jak i dziennikarzami prasowymi — twierdził, że stanowisko Kottańskiego w tej sprawie jest oczywiste, a i on sam nie przeciwstawia się nowemu przeznaczeniu pałacyku. Ale do środka wejść podobno nie chciał...

Naczelnik warszawskiej dzielnicy Praga-Południe, Marek Jaworski, mający w swej pieczy ten rejon, zamierza pomóc „Monarowi” w przejęciu i urządzeniu pałacyku. Rozumie problem ludzi chorych na AIDS. Jest już za to szantażowany przez rembertowską Spółdzielnię Pracy „Rozwój”, która wystosowała doń pismo protestacyjne z zagrożeniem masowych zwolnień, jeżeli

z nimi! Inni dopowiadają — wszyscy chcą zachować anonimowość („po co się narażać”) — że chcą tu spokojnie żyć, nie chcą żadnego kontaktu z chorymi, a w pałacyku założą przedszkole. Przy snuciu tych planów łatwo się zastrzeżewiają, przeklinają...

Chorzy z pałacyku byli na ogół, mimo zmniejszenia fizycznego i psychicznego, bardzo gościnni i rozmowni. Często robili się tłoczno od dziennikarzy. Opowiadali o sobie, o chorobie, o odrzuceniu przez rodziny, o kłopotach z zatrudnieniem, wszyscy z łękiem myśleli o najbliższej przyszłości.

W ostatnim dniu ultimatum, 31 stycznia późnym popołudniem, okolicie pałacyku zaroili się od tubylców uzbrojonych w kiję, sztachety, kamienie, butelki z benzyną i inne wojenne akcesoria. Wobec narastającej agresywności tłumu (około dwustuosobowego), mimo doraźnego wzmocnienia sił medycznych i sprowadzenia sił porządkowych, chorzy za namową Marka Kottańskiego i pani Krystyny Sienkiewicz, wiceminister zdrowia i opieki społecznej, zgo-

dzieli się na przewiezienie autokarem na czasowy pobyt do sali konferencyjnej w budynku ministerstwa. Od tego momentu dziennikarze nie mają dostępu do chorych, podobno na ich własne życzenie. Pobyt w ministerstwie przedłużył się na czas nieokreślony. Dokładnie od godziny 14 dnia 8 lutego chorzy podjęli strajk głodowy.

Tyle faktów. Co dalej — trudno przewidzieć. Ale pewne jest to, że już teraz należy myśleć o przyszłej profilaktyce i edukacji medycznej społeczeństwa w zakresie AIDS i HIV. Uświadomienie społeczeństwa w tej dziedzinie jest nieliche. Gros społeczeństwa kojarzy AIDS i HIV z chorobami wenerycznymi. Mało lub nic nie wie o sposobach zakażenia. Nasi nieliczni znawcy tych problemów twierdzą, że to, co się wydarzyło w Kawęczynie-Rembertowie, jest powtórzeniem zjawisk z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, tyle że z większą intensywnością. Dziwi i smuci postawa Kottańskiego, który, jakoby niepomny na przypowieść o dobrym Samarytanie, nie, zajmując postawę „tolerancyjną”, wyciekającą. Można by przecie powiedzieć Kottańskiemu część zadań profilaktycznych i edukacyjnych. Łatwiej byłoby wówczas oczyścić się z agresji i historii. Czy Kottański podejmie się tego zadania? Jestem optymistą.

W kontekście toczących się aktualnie dyskusji na temat tego, czy powracamy do Europy, czy też do niej wступujemy po raz pierwszy, nasuwa się refleksja, że — jaką by opcję przyjął — dla niektórych jest to droga w zupełnie odwrotnym kierunku. Prawdziwe to i wstrząsające.

PS. W chwili składania tego tekstu do redakcji, natrafiłem w „Gazecie Wyborczej” z dn. 9.02.90 r. na informację, że jeszcze pierwszego dnia głodówek, w czwartek wieczorem, spotkał się z chorymi m.in. Kuroń. Witając się, ucałował wszystkich chorych. Po przedstawieniu przez ministra kilku propozycji, głodujący przerwali swój „protest ostatniej nadziei”.



„08 zgłoś się”.

**O** MILICJI najlepiej jest pisać źle. Bo tak trzeba. Dokopać „niebieskim” za paly lądujące na plecach, za przekrwione od gazu oczy, i za „rozpraszanie dymów”. Za wszystko. Bo tak trzeba. Rozliżyć ich dokładnie i do końca.

— Zabierzcie go stąd, bo nas pozabija! — wykrzykuje przez lzy młoda kobieta ubrana na czarno. Zaczyna się. Płacze. Słowa więzną jej w gardle.

— Matka... po zawale...  
Znowu przerywa. Nie może mówić. Ręką pokazuje rozbity na stole szybę. Obok stoi stara kobieta. Wierzchem dłoni trze zapuchnięte od łez oczy. Z sąsiedniego pokoju dochodzi głośne chrapanie.

— Syn, a gorszy niż zwierzę — mówi po chwili starszuszka. — Nawet śmierci ojca nie potrafił uszanować. Dwa dni będzie, jak pochowałam męża, a ten pije na umór i tłucze wszystko, co mu w ręce wpadnie. Do bicia się bierze i krzyczy, że nas pozabija. Ja już tak dłużej nie mogę żyć...

Sierżant Mańkowski z kapralem Kucio budzą pijanego mężczyznę. Wstaje. Rozgląda się mętłym wzrokiem po pokoju.

— Milicję na mnie kurwy nastali — mamrocze pod nosem pijak, nakładając spodnie. — Ja im dam milicję. Zatknięć ściemna, jak tyłko ze złoba wróce. Pod Bogiem, zatknięć.

Milknie, przywołany do porządku przez sierżanta. Wychodzimy z domu. Służbowy polonez rusza na Kawia. Jest godzina 20.30. Noc z 30 na 31 stycznia. Jeszcze jedna interwencja domowa: Na Knochmalnej.

Starszy sierżant Jan Mańkowski z kompanii patrolowej RUSW w Lublinie:

— Ludzie mówią: glina. Niech mówią. Na nauczyciela w szkole wolają belfer. I dobrze. Ja tam swoje wiem. Rząd — jaki by był — musi mieć milicję. Tak jest wszędzie. A u nas bywają różnie. Większość społeczeństwa patrzy na nas niczym na trędowatych. Ludzie pamiętają japońskie paly w ruchu, kopanie do nieprzytomności i walenie pięściami po zębach jak po klawiaturze. Dla bitego ZOMO, SB czy milicja to jeden karabin. Dla nas nie. Więc chcemy, żeby było inaczej. My to my, oni to oni. Na „górze” wszystko wygląda w porządku. Jeden, dwa telefony — bo rozumiecie, sytuacja tego wymaga — a za biurka robię ja. Nic dziwnego, że miłość i agresja kieruje się przeciwko tym, którzy bezpośrednio wykonują rozkazy. 22 lata pracuję w tym zawodzie. Niejedno już widziałem. Zawsze były jakieś polityczne naciski i serwituty świadczące lokalnej władzy. Przykład? Kilka lat temu pojechałem na interwencję domową. Młoda kobieta zażądała usunięcia z domu przyjaciela jej matki, przebywającego w tym czasie w szpitalu. Gość był trzeźwy, nie rozrabiał. Tyle że córki nie podobało się, iż matka żyje z kimś na „kocią łapę”. Praktycznie powodów do interwencji nie było. Każdemu przecież wolno mieszkać z kim chce. Tak myślałem. A baba nie dała za wygraną. Gdzieś zadzwoniła i oddała

czekać na skraju parku, a tu pusto. Pewnie jakiś żart. Wracają. A my jedziemy powoli wyasfaltowanymi alejkami. Ciemno. Mgła. Przez szyby milicyjnego poloneza widać tylko kontury drzew. Wszyscy patrzymy na boki. Żart, nie żart. Sprawdzić trzeba.

— Jest! — krzyczę po chwili.

— Gdzie? — rozgląda się sierżant Mańkowski.

— Tam. Koło tego drzewa.

Cofamy. Rzeczywiście. Na najniższej gałęzi wisi młody chłopak. Palcami nóg dotyka niemal ziemi. Bezwietrzna pogoda. Noc we mgle. I on jak małe drzewko. Podchodzimy bliżej. Na trawniku przewrócony kosz na śmieci. Stał czy nie stał? Sznurek od bielizny. Pełta. Koniec. Zamknięte oczy. Otwarte usta, język na wierzchu. Przypomina mi się „Krótki film o zabijaniu” Kieślowskiego. Czuję się jakos nieswojo. Odchodzę na bok. Kapral Kucio wzywa przez radiotelefon ekipę śledczą. Czekamy. Przyjeżdża radiowóz z pobliskiego komisariatu. Świecą latarkami.

— Do wszystkich radiowozów. Kradzież łady...

— 41, kradzież na „wyrwę”...

— 15, pomóżcie karetce pogotowia przewieźć psychicznie chorego...

— 13, interwencja domowa na Kurnickiego...

Krażymy po ulicach Wrotkowa. To „nasz” rejon. Sklepy, kioski, garaże, przejeżdżające samochody. Na razie pusto. Spokojnie. Sierżant mówi:

— Do każdego trzeba podchodzić inaczej. Byłe bez nerwów. Bo wtedy rodzi się agresja. Mundur zaczyna działać jak płachta na byka. Wystarczy smarkaczowi, co to dwa dni temu odebrał dowód, powiedzieć „ty” i już awantura gotowa. Ze brak szacunku, że świń ze mną nie pasał. Nie wiem, czasami i pięścią przyłożyłem. Pamiętam, pijanego wtedy wiozłem. Siedział z tyłu. Ni z tego, ni z owego dzielił mnie kułakiem w głowę. O mało kierownicy z rąk nie wypuściłem. I co? Miałem zakładać sprawę o czynne znieważenie funkcjonariusza na

„Dla bitego ZOMO, SB czy milicja to jeden czorł. Dla nas nie.”

## LUDZIE MÓWIĄ: GLINA

Zbigniew Dzieciołek

Fotografował Waldemar Stępień

mi słuchawkę telefonu. Po drugiej stronie odezwał się ówczesny prezydent Lublina — Popławski: „Wyprowadzić z domu i sporządzić wniosek na kolegium”. Pytam: „Za co?” W odpowiedzi słyszę: „Jak nie wiecie za co, to zameldujcie się reno u pułkownika. On wam wyjaśni”. I co? Niby nie rozkaz a olać takiego, to skrupiłoby się wszystko na mnie. Chwała Bogu, że facet dość miał mieszanina się w jego prywatne sprawy i zaczął bluźnąć na milicję. Wyprowadziłem. Obyło się bez kolegium, chociaż mała z tego pociecha. Więc chcemy, żeby było inaczej.

— 08, 08 zgłoś się — słychać głos dyżurnego z punktu dowodzenia na Północnej.

— Zgłaszam się.

Kapral Kucio przełącza na odbiór.

— Z pogotowia był telefon, że w Parku Ludowym ktoś się powiesił. Sprawdzić.

— Przyjąłem.

W parku jest już karetka pogotowia. Krąży między drzewami na długich światłach. Nic nie widać. Zatrzymuje się. Kierowca mówi, że ktoś miał

— Gówniarz — rzuca któryś z nich. — Jeszcze ciepły. Plam na rękach i twarzy nie widać.

Wraca karetka. Znowu świecą.

— Nic tu po nas — mówi dyżurny lekarz.

Odjeżdżają. Stoimy, paląc papierosy. Przysłuchuję się rozmowie milicjantów. Wisielca jakoby nie było. Kląną, bo psia służba. Niedawno złapali złodzieja z pełnym workiem butów, mówią ci z komisariatu. Sto metrów dalej wybita szyba w obuwniczym. W środku bałagan jak po tornado, a ten skurwiel tłumaczy, że worek znalazł na ulicy i właśnie go niósł na postanunek. Dzwonią do prokuratora. Każe zwolnić, bo nie złapali na gorącym uczynku. No to miech kradną, miech biją, jak z prokuratora taki dobry wujek. Jeszcze dwa, trzy lata temu zamykał Mańkę i jemu podobnych za wiece, za ulotki, za lampki zapalane pod pomnikiem. Dzisiaj Mańka jest posłem, to prokurator ma pietra, a żulia śmieje się im w twarz. Taka zabawa w chowanego na dochodzenie.

Są ze „śledczego”. Techniki z ekipy przystępuje do pracy. Wsiadamy do poloneza. Przez radiotelefon płyną cały czas informacje:

— 01, zatrzymany sprawca usiłowania gwałtu...



„Na najniższej gałęzi wisi młody chłopak”.

służbie, kiedy on nie wiedział, co robi? Prokurator, sąd, wyrok. Cały prawniczy korowód. Obeszło się bez tego. Zatrzymałem samochód. Walnąłem go w ten pijany łeb i spał dalej. Zaliczył tylko Kawia i guza na głowie zamiast wyroku...

Kolejna informacja. Włamanie do zakładu „Gracji” na Nałkowskich. Jedziemy. Na miejscu okazuje się, że był to fałszywy alarm.

Podporucznik Andrzej Kołodziej, szef Referatu Prewencji RUSW w Lublinie:

— W Sejmie mówią, że u nas średnia wynosi 1,7 miliona miesięcznie. Tylko kto tyle dostaje? Ja mam około 600 tys., a sierżant z długoletnim stażem pracy nie więcej jak 500 tys. zł. Może na „górze” ktoś tyle bierze, a bajki o bajonierskich zarobkach w milicji idą w eter. To ludzi drażni. Tak samo jest ze sprzętem. Szmelc z fabrycznych odrzutów, a wszystkim się wydaje, że cuda-niewidy. Kiszczak chciał ugłaskać nagomikę na MSW i oddał część telefonów i samochodów.



„Rutynowa kontrola”.

Jemu było łatwo. On nie wyjeżdżał na noc na patrol. Tym, co mamy, to traktory można ganiać, a nie złodziei samochodów. Jak widzę w telewizji te idiotyzmy o poruczniku Borewiczu, dostaję białej gorączki. Helikoptery, szybkie wozy, bajery. Zachód. A nasza rzeczywistość skrzeczy zepsutą nyską, która staje co tydzień na kanale. Nas się nikt nie pyta, jak i czym. Nas się ocenia. Okradli — winna milicja, pobili — milicja. Rewizja — też milicja. Dla ludzi to jeden czort. A SB do tej pory ma podwójne legitymacje. Naszą i swoją. Pokazują w zależności od sytuacji. Oni „narozrabiają”, a odium spada na całą milicję. Chcemy zmian. Chcemy swoich związków. W grudniu ubiegłego roku było pieniężne spotkanie. Zadziałały stare metody. Bezpieka podłożyła nam podstęp w kwiatkach. Nie wpuszczono na salę delegatów z Gdańska. Teraz jest lepiej. Działa już Tymczasowy Komitet Założycielski NSZZ Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. I nikt ich z pracy nie zwalnia, jak tych, co chcieli zakładać związki na początku lat 80.

Notuję sygnały przekazywane z Północnej radiowozem patrolującym miasto: pijana kobieta z pokrwawionym dzieckiem, włamanie do spożywczego na Manifestu Lipcowego, sklep dziwiarski przy Rady Delegatów. Znowu spożywczy, tym razem przy M. Cwiklińskiej, zakłócanie ciszy nocnej, interwencje domowe, kradzież z prywatnego mieszkania, pobicie. A „u nas” wyjątkowo spokojnie. Czwarta rano. Sierżant Mańkowski podwozi mnie na Północną. Przed skrzyżowaniem Lipowej z Okopową i Skłodowskiej zatrzymujemy się. Obok, chodnikiem idzie młody chłopak z workiem na plecach. Rutynowa kontrola.

— To nie moje — tłumaczy zaskoczony chłopak, przykrywając rękę owiniętą bandażem. — Dał mi jakiś facet, żeby mu zamieść na dworzec PKP. Obiecał 10 tys. zł. Szedł cały czas za mną. Taki niewysoki w szarej kurtce.

Widać, że kręci. W pobliżu nie ma żywego ducha. Otwieramy worek. 50 paczek kawy „Selekt”, jedna duża wiejska, dwie półlitrowki, magnetowid, magnetofon, kasety, ciuchy. Uliczamy. Jakies 5—6 milionów złotych.

W komisariacie na Okopowej chłopak gubi się w zeznaniach. Przyjechał z Pucka do znajomego, ale nie wie, gdzie on mieszka. Nie potrafi też wyjaśnić, co robił o tej porze na Lipowej. Ręce mu się trzęsą. Cuchnie alkoholem i brudem. Z dowodu wynika, że ma 21 lat. Sierżant patrzy na zdjęcie z wystrzyżoną na zapalkę głową i datę wydania dokumentu.

— Za co pan siedział? — pyta.

— 210 — odpowiada krótko chłopak.

— Ile?

— Dwa lata i osiem miesięcy. W czerwcu wyszedłem.

Długo nie nacieszył się wolnością. Dalej jednak twierdzi, że o niczym nie wie. Z uporem maniaka powtarza wysaną z palca historię.

Sierżant z kapralem piszą protokół, a ja oglądam nocne łupy. Obok worka „gościa” z Pucka w dyżurce stoi sześć butelek „Perły Lubelskiej”. Tyle zdążył wynieść włamywacz ze sklepu spożywczego przy M. Cwiklińskiej. Teraz piwo będzie mu się śniło podczas długich więziennych nocy. Wychodzimy. W radiowozie słychać głos dyżurnego:

— 08, jak pilnujecie? Na Nalkowskich obrabiali kiosk „Ruchu”.

Milicjanci klną pod nosem. Trudno. Nie można być w dwóch miejscach jednocześnie.

Na Północnej, przy stanowisku dowodzenia, sierżant Urban odbiera dawniające co chwila telefony:

— Zgłaszam zatrucie alkoholem...

— Zginęły mi dzieci — nerwowy głos kobiety — dwóch chłopców w wieku 6 i 9 lat...

Noc minęła w miarę spokojnie, twierdzi sierżant Urban. Kilka dni temu samych włamania było 17.

Godzina ósma rano. Jest już zmiana. Sierżant Dariusz Dąbrowski. Społecznie — zastępca przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Funkcjonariuszy MO. Zaprasza na spotkanie milicjantów z przedstawicielami „Solidarności”. Bo tak trzeba.

## Kochana Telewizjo Nocą...

# SUTERENA

## Izabella Wlazłowska

„Po tym, co mnie spotkało, nie mam głowy i siły, aby walczyć o to co mi się słusznie należy. Krzywda moja jest bezsporna. Mieszkanie, z którego nas wyrzucano, zapisane jest na mnie aktem notarialnym. Proszę o wprowadzenie mnie i mojej żony z powrotem do mieszkania. Chciałbym z żoną mieszkać na stare lata jak człowiek we własnym, przez siebie zbudowanym domu”.

**W**LADYSŁAW Z. ma 76 lat, a jego żona, Franciszka, 78 lat. Obydwójce mieszkają w Lublinie, w dzielnicy domków jednorodzinnych. Dom ten jest jednym z najokazalszych w okolicy.

Furtka w ogrodzeniu zamknięta. Napis: „Uwaga zły pies”. Dzwonię. Z mieszkania wychodzi kobieta. Proszę o widzenie się z Władysławem Z. Po chwili do furtki podchodzi stary mężczyzna. Prowadzi mnie do domu. Z klatki schodowej schodzimy w dół do piwnicy. Czuję okropny zaduch, pomieszany z odorem moczu i kału. Opanowuję mdłości.

Władysław Z. zdaje relację ze swego życia:

— Mieszkaliśmy z żoną i dziećmi w Jabłonnej. Żona w posagu wniosła dwie morgi ziemi. Ja miałem półtorę morgi. Tak zaczęliśmy. Na gospodarce wiodło mi się dobrze. Ziemi przybywało. Dorabialiśmy się dla dzieci. Miałem dwie córki, jedna już nie żyje, i dwóch synów. Zatrudniłem się jeszcze w Lublinie jako dozorca. Razem z synami postanowiliśmy, że kupimy w mieście działkę i wybudujemy trzyrodzinny dom. Jak tylko zaczęliśmy zwozić materiały budowlane, to ja tu zostałem, aby pilnować wszystkiego. Synowie pracowali jeszcze na gospodarce. Na działce postawiliśmy komórkę, w której nocowałem. Prawie wszystko przy domu robiliśmy sami. Tylko mury postawili murarze. Kiedy wybudowaliśmy podpiwniczenie, przenieśliśmy się z komórki do suterenu. Żona w tym czasie mieszkała w Lublinie u córki Janiny, której pomagała wychowywać dzieci. Kiedy dom był już w stanie surowym, przepisałem u notariusza swoją część na obydwu synów. Razem z żoną zaliśmy też swoje ponad 4-hektarowe gospodarstwo na syna Zygmunta, za renty. No i zostaliśmy bez niczego. Notarialnie miałem zagwarantowany duży pokój z balkonem na parterze, w którym mieszkaliśmy z żoną. Żona zamieszkała tu w 1987 roku. Od dwóch lat leży przykuta do łóżka. W międzyczasie Zygmunt przepisał swój udział w domu na wnuczkę Lucynę i wnuka Dariusza. Lucyna zaczęła mi wymawiać, że kręcę się po jej kuchni, jej łazience, jej mieszkaniu. Kazali mi się też pozbyć kur, które trzymałem na działce, bo to była już nie moja działka. Dokąd byłem właścicielem, to miałem u synów uważanie, a teraz jestem niczym i można mnie było razem z żoną wyrzucić jak psa do suterenu. Bo psa też tu trzymają, o tam, pod schodami. Jest zły i nikogo do domu nie wpuszcza.

Oto relacja syna Władysława Z., Zygmunta, którą cytuję z protokołu przesłuchania go przez prokuratora. Prokurator zapisał na stanie majątkowym Zygmunta Z. rolnika, zatrudnionego dodatkowo jako dozorca w Lublinie: 2 budynki mieszkalne w Jabłonnej i Lublinie, murowaną stodołę i oborę, ciągnik, maszyny rolnicze oraz około 10 hektarów ziemi.

„W 1987 roku ja oraz mój brat Wiesław zakończyliśmy budowę domu w Lublinie. Przy budowie pomagał ojciec. Ojciec zamieszkiwał w tym niewykończonym domu od kilku lat, zanim nawet było ogrzewanie. Nim skończyliśmy budowę, ojciec zaczął w naszym domu sprzedawać alkohol. Zrobił sobie melinę. Ja i brat sprzeciwialiśmy się temu i nawet w 87 roku złożyliśmy do Prokuratury Rejonowej skargę na ojca. Zgłaszaliśmy również o tym kilkakrotnie do MO, ale też bez rezultatu. W związku z tym zaczęły się u nas w domu awantury, tzn. kłótnie i sprzeczki pomiędzy mną, bratem a rodzicami, najczęściej ojcem. Były to kłótnie, ale nigdy nie dochodziło do bicia.

Dom składa się z czterech kondygnacji. Z bratem podzieliliśmy się w ten sposób, że piętro i poddasze jest brata, a parter i podpiwniczenie moje. Na piętrze są cztery pokoje, kuchnia, łazienka i ubikacja. Taki sam zestaw

jest w suterenie. Ojciec faktycznie nigdy w pokoju nie mieszkał. Zanim skończyliśmy budowę, ojciec bez mojej zgody wynajął to pomieszczenie małżeństwu. Powiedziałem ojcu, by płacił za prąd. Jedną ratę ojciec opłacił, ale później już ani grosza. Wymówiłem małżeństwu. Po ich wyprawieniu ojciec wstawił do tego pomieszczenia swoje meble, wersalkę, krzesła i małą szafkę. Przetrzywał tam jedynie wódkę oraz robił wino. Ojciec ani matka nigdy tam nie mieszkali.

Jedno pomieszczenie w suterenie wynająłem studentowi i prosiłem ojca, by lokator mógł korzystać z kuchni. Ojciec nie wyraził zgody. Wówczas powiedziałem, aby oddał mi klucze od pomieszczenia na parterze i zabrał z niego swoje rzeczy. Ojciec tego nie chciał zrobić i poszedł do MO. Przyszli funkcjonariusze i kazali ojcu otworzyć pokój. Ojciec otworzył i wyszedł z domu. Ja korzystając z okazji, że byli wówczas w domu dwaj synowie, postanowiłem wynieść rzeczy ojca do suterenu. Ja, Dariusz i Andrzej wynieśliśmy wszystkie meble. Z małej szafki wypadło kilka butelek wina swojej roboty oraz 2 butelki denaturatu.

Po dwóch dniach córka powiedziała, że ma być u nas telewizja. Przyjechali „polonezem”. Nie wpuszciliem ich do domu. Córka powiedziała, aby ich nie wpuszczać, bo to wstyd i jak się ona pokaże na uczelni, gdyż u ojca i matki jest wielki brud. Redaktorzy chcieli wejść do domu, ale ich nie puściłem. Napisałem list do telewizji, a żona była u redaktora naczelnego, by wstrzymał program. Ale program był w telewizji. Zdecydowaliśmy, że podamy do sądu redaktora, za to, że przedstawił nieprawdę. Nigdy nie było tak, bym się znechał nad ojcem i matką. Mieszkają w suterenie, ale jest to normalnie wykończone mieszkanie”.

Pytanie prokuratora skierowane do Zygmunta Z.: „Gdzie przebywała matka w dniu, kiedy przenosiliście meble rodziców do suterenu?”

Odpowiedź Zygmunta Z.: „Tego dnia, kiedy przyjechała milicja, ojciec położył matkę na wersalkę w tym pokoju na piętrze. My matki razem z łóżkiem nie znosiliśmy. Ja oraz córka pomogliśmy matce zejść na dół. Przed wyjściem ojciec zamknął pokój w suterenie i nie mieliśmy gdzie matki położyć. Znieśliśmy go góry wersalkę i na nią w przedpokoju w suterenie położyliśmy matkę”.

Pytanie prokuratora: „Czy ojciec nadal handluje alkoholem?”

Odpowiedź Zygmunta Z.: „Nie. Obecnie ojciec nie sprzedaje alkoholu, bo wie, że teraz jest nagonka i mógłby mieć nieprzyjemności. Często były kradzieże dokonywane przez tych pijaków. Mógłbym dużo powiedzieć na ten temat, ale już nie wiem, co mówić, bo nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec tak postępuje”.

Drugi syn Władysława Z., Wiesław, złożył w prokuraturze oświadczenie, które cytuję dosłownie, bez zmiany stylistyki:

„Dom budowaliśmy wspólnie z bratem, za wszystkie materiały placiliśmy wspólnie. Ojciec zajmuje trzy pomieszczenia na półpiętrze. Dodatkowo od Zygmunta, któremu zdał ziemię za rentę, dostał pokój na parterze i rzekomo miał być u niego do śmierci. Pokój ten do chwili obecnej był zamknięty na klucz i służył do fermentacji alkoholu, którym ojciec handlował. Zrobił z domu melinę. Przez ten handel i wizyty domowe różnych alkoholików skradziono rower, dziecięcy wózek, koło od samochodu. Dzieci bały się wychodzić na ulicę, gdyż ci meliniarze odgrazali się biciem. Przez ten handel napadli matkę, którą zmasakrowali doszczętnie. Jest teraz kaleka. Niezależnie od tego jest zamykana przez ojca na klucz. W moim własnym domu nie mam wejścia do matki. Sprządził te-

lewizję, oskarżając nas o wyrzucenie mebli z pokoju”.

Z protokołu przesłuchania wnuczki Władysława Z., Lucyny, studentki wydziału prawa UMCS: „9 października 89 roku ojciec wspólnie ze mną, bratem Dariuszem i Andrzejem przeniósł rzeczy dziadka do miejsca jego zamieszkania, tj. suterenu... Dziadek jest złośliwym człowiekiem, trudnym we współżyciu”.

— Wie pani, że dopiero milicjanci powiedzieli mi, że nie jestem tu zameldowany na stałe — mówi Władysław Z. — Synowie zameldowali mnie tu czasowo, ale i ten meldunek zakończył się już w 1987 roku. Oni nie chcą mnie tu zameldować, no bo nie jestem już właścicielem. Oskarżyli mnie też do milicji, że handluję wódką. Chyba to było w 84 roku, milicja zrobiła przeszukanie i sprawę skierowała do sądu. Zapłaciłem 40 tys. zł grzywny. A pół litra wódki u mnie wtedy tylko znaleźli. Ze trzy lata temu żona została pobita przez młodego mężczyznę. Złapał go, był sąd i dostał karę więzienia. Potem żona znowu była w szpitalu i teraz leży już w łóżku jak kłoda. Pod siebie robi, zanieczyszcza się. Czuję pani jaki smród? Sam koło niej wszystko robię. Na gorze był balkon. Mogłem pościel przewietrzyć, uprać w łazience. A tu?...

Prowadzi mnie do pomieszczenia, w którym stoją dwa piece centralnego ogrzewania. Zamontowana tu umywalka nie widziała chyba nigdy proszku do czyszczenia, podobnie wydzielona w kącie ubikacja.

— Gdzie pan pierze? — pytam.

— O, w tej waniencie, kłękam na podłodze i pierę. A suszę rozkładając rzeczy na poręczach krzesła.

Plastykowa wanienska leży na betonie pomiędzy piecami centralnego ogrzewania. W „przedpokoju” zainstalowana jest kuchenka gazowa. Lodówki nie ma. Drugie pomieszczenie z piecami c.o. zamknięte na klucz. Tak samo jak pomieszczenie, które jest odpowiednikiem dużego pokoju na wyższych kondygnacjach. Otwarta piwnica o betonowym podłożu, typowa dla domów jednorodzinnych. Stoi w niej część mebli Władysława Z., zniesionych z góry, oraz zbierania różnych rzeczy niepotrzebnych domownikom.

Na podłodze w „pokoju”, w którym siedzimy, ułożona jest płyta pilśniowa. Okno usytuowane pół metra nad ziemią. Brudne, odrapane ściany. Pod oknem na drewnianym łóżku leży żona Władysława Z. W brudnej pościeli, przykryta postrzępionym kocem. Obok na stołku patelnia z zakrzepłym tłuszczem i resztkami jedzenia.

— Sam gotuję — mówi Władysław Z. — po zakupy chodzę. Ale czasami nie mogę wyjść z domu, bo synowie nie dali mi klucza od drzwi wejściowych. Powinajmowali pokoje lokatorom, a starzy rodzice muszą siedzieć w suterenie. Im klucze dali, a ja przez okno wychodzić muszę.

Z przesłuchań w prokuraturze: Sędzia Sylwester S.: „Z. skarżył się, że syn Zygmunt nie chce dać mu kluczy, aby je dorobić do drzwi wejściowych. Widziałem, jak Władysław Z. wychodził z półsuterenu przez okno”.

Sąsiadka Zofia L.: „Byłam kilka razy u pani Franciszki Z., gdy była chora. Pamiętam, że mieszkała na parterze wraz z mężem od strony wschodniej. W święta widziałam jak Władysław Z. wychodził oknem”.

— W Wigilię siedzieliśmy we dwoje — mówi Władysław Z. — Córka Janina prosiła, bym przyszedł do niej. No, ale w taki dzień miałem żonę samą w łóżku zostawić? Ugotowałem barszcz czerwony. Otworzyłem słoik ze śledziami...

Plące. Ociera rękawem policzki. — ... Chojniki nie było. W pierwszy dzień świąt chciałem pójść do kościoła, ale drzwi wejściowe były zamknięte. Przez okno wyszedłem.

Akt notarialny sporządzony został 10 października 1982 roku. Umową darowizny Franciszka i Władysław Z. przekazali swój udział w nieruchomości na rzecz dwóch synów, którzy:

„oświadczają, że ustanawiają nieodpłatnie służebność mieszkania, jednej izby na piętrze od strony południowo-wschodniej”...

Prokurator Rejonowy dla miasta Lublina wszczął dochodzenie w sprawie moralnego znęcania się nad Franciszką i Władysławem Z.

## LISTY

## „Niczycie dusze z pogranicza”

Trzeba przyznać, że nie brak Wam cywilnej odwagi w publikowaniu jakże potrzebnych wypowiedzi na temat tzw. Kresów Wschodnich i styku Polacy — Ukraińcy. Wypowiedzi te odznaczają się typową dla tych spraw zajadłością, wylizaniem krzywd i zakłamaniami. Przykładem tego jest akapit z listu pana G. M. pt. „Niczycie dusze z pogranicza”, opublikowanego w nr 42/89 „Relacji”.

Autor ze zdumiewającą pewnością stwierdza: „Nie jest właściwym porównywanie wschodniosłowiańskiej ludności Północnego Podlasia do Polaków z tzw. Kresów Wschodnich. Ci ostatni przybyli na ziemię zamieszkaną już przez kogoś innego (?), mieszkańcy Podlasia są zaś autochtonami [czy to znaczy, że nie są Polakami? — przyp. J. R.]. Polaków z polskich Kresów Wschodnich właściwie byłoby porównywać z Niemcami z niemieckich Kresów Wschodnich”. Po przeczytaniu tego akapitu trudno powstrzymać pytanie: Kto i gdzie jest autochtonem?!

Proponuję odrzucenie cten wewnątrzsłowiańskich i spojrzanie na te sprawy z boku, bezinteresownie. Najpewniejszym źródłem pisany jest mapa świata w układzie lądowym Ptolemeusza. Na mapie tej jak wół tkwi — od Włosty po Kaukaz — nazwa „Sarmatia”. Dopiero za Uralem pojawia się nazwa „Scythia”. Jeszcze wcześniejsze mapy rzymskie wykazują także nazwę sarmackiego miasta Calisia (pocziwy, polski Kalisz!).

Szkoda tu miejsca na wyważanie drzwi otwartych i udowodnianie spraw dawno udowodnionych bezspornie — tego, że Sarmaci to nikt inny tylko przodkowie polskiej szlachty. Wpływ ich kultury i języka jeszcze i dzisiaj jest widoczny wśród ssiadujących wówczas z nimi plemion z terenów dzisiejszej Gruzji. Pisane źródła z innej niż aleksandryjska strony świata, ze Skandynawii, mówią o podbojach państwa Polan nad rzeką Dniepr i zajęciu ich miasta Kijowa.

Wobec istnienia tak druzgocących dowodów niemożliwe stało się zakłamanie istnienia państwa Sarmatów-Polan na terenach od Włosty po Kaukaz. Współcześnie sporządzane przez pro-wschodniosłowiańskich autorów mapy słowiańszczyzny wykazują zatem skupiska Polan koło Kijowa, Gnieszna, Kalisza. Nie wiadomo jednak, dlaczego czynią to rozdzielnie i dlaczego łączący je napis „Sarmatia” skręca dziwnie na południe, omijając tereny obecnej Polski. Napis „Scythia” rozciągnięto aż nad Morze Czarne!

Wszelkie współczesne opisy uzasadniające nazwę „Polanie” brzmią wręcz humorystycznie! Najczęściej popularyzowane są mapy Słowiańszczyzny, wykazujące skok od razu w wiek X n.e. Wszystko od Mieszka I uszyty zaczęto traktować nie jak jednolite państwo sarmackie, lecz jak nagle opadłe z nieba ksiąstewka i grupy rodowe. Na mapach pojawiają się między Polanami nazwy rodów, na których panowanie na tak rozległych terenach brak jakichkolwiek dowodów pisanych. Jacyś Bużanie, Drewlanie itp. nazwy, które nie określały ani narodowości, ani państwowości — podobnie jak nie określają tego dzisiaj nazwy np. Dnieprzanie, Prypeccanie, Kołchoźnianie lub zgoła... Brezniewianie albo Stalinowcy.

Jednolite państwo sarmackie (inaczej — polskie) dla podkreślenia jedności plemiennej Polan utrzymywał Bolesław Chrobry, Kazimierz Wielki, Jagiellończyk, Stefan Batory. Aż do II wojny światowej mową polską była mową powszechną po Leningrad i Odessę.

Moim jednak skromnym, lecz popartym długoletnim doświadczeniem, zdaniem, najlepszym dowodem na jednorodność, sarmacko-polskie pochodzenie dzisiejszych mieszkańców dawnej Sarmacji, szczególnie Ukraińców, jest ich nieomal atawistyczne poczucie więzi z Polską. Jest w nich coś z niekochanych przez matkę dzieci. Poczucie odrzucenia wywołowało agresję. Biją, drapią, gryzą, krzyczą i... płaczą, aby być zauważonymi. Pojąć to może tylko matka, która wie z doświadczenia, jak różne bywają zachowania własnych dzieci aż do nienawiści i matkobójstwa włącznie. Jest w nich także owa sarmacko-polska buta, fantazja i żywotność oraz umiłowanie ponad wszystko wolności. To zbuntowane dzieci Matki-Polski, szukające przycięcia i schronienia wśród Dzikich Pól i Porohów Dniepru.

A obłąkanie? Owe Pellury, OUN-y, UPA, Czuprynki, Onyszkiewicz-Oresty i utajeni jeszcze inni przywódcy, przecież to wszystko czepia się rozpućliwie Polski! Polska im musi dać: tereny, mieszkani, pracę, szkoły, przedstawicielstwa parlamentarne itp., bo przecież Polska to ta wyczuwana instynktownie Matka. Kocha nie kocha, lecz zaopiekować się swym dzieckiem musi! A ten ich „podziemny hymn” — „Szczę ne umierła Ukraina”, będący kopią tej, która nie zginęła...

To właśnie trzeba wreszcie głośno powiedzieć. Obecnie wielką radość wobec Polaków i Ukraińców popielniają ci wszyscy, którzy zmiierzają do

Dokończenie na str. 7

**P**ODOBNO będzie w Związku Radzieckim drukowany „Archipelag Gulag” — pytam podpułkownika.

— A co w nim sekretnego? Wszyscy wiedzą oprócz nas, dlaczego nam to zabierać?

— Obgadaliśmy prawie wszystko. Został tylko Katyń...

— To bolesne miejsce — odpowiada i widzę, że szykuje się do pływania.

— W Polsce nikt nie ma wątpliwości, że oficerów wymordowało NKWD — uprzedzam go.

— Jaki miałby w tym interes? Każdy polski żołnierz się liczył.

— Problem w tym, że zrobiliście to za wcześnie. Wystarczyło poczekać, aż Sikorski dogada się ze Stalinem. Poszlaki wskazują na NKWD — Niemców nie było wówczas w Smoleńsku, nie używali amunicji, którą zabijano, no i metoda — strzał w potylicę.

— To mała sprawa — usiłuje bagatelizować. — U nas przesiedlano całe republiki, narody. Co przy tym znaczy jedna spalona wioska?

— Dla was mały, dla nas zasadniczy problem.

— Podobna mi się u Polaków honor — mówi — wypięta do przodu pierś. Wy chodźcie jak pietuch w stadzie kur! To dobrze, pilnujcie swoich spraw.

— Myślę, że Polska i Rosja mogłyby się lubić, pomagać sobie. Tylko Rosja od 300 lat chce widzieć w Polakach poddanych. Na to nie pozwolimy nigdy. Od trzystu lat macie te same problemy z nami, zupełnie, jak byście nie wyciągali wniosków z historii.

— To prawda. Za cara, kto nie Rosjanin, ten pośredniego gatunku: Białorusin, Ukrainiec — małorusin, Polak też.

— Więcej nadzieję, że Gorbaczow patrzy w nowo...

Długo milczymy.

— Ja musiałem być podwójnie dobry, żeby się mnie nie czepiali — powiada podpułkownik. Nie wiem, wysnęło się, czy pragnął uwolnić się od ciężaru?

**D**O granicy dojeżdżamy zmęczeni nie tylko Wschodem i upałami, równie przygnębiające wrażenie robiła bylejakosć życia, przy której rodzima, kryzysowa bieda nosiła wyraźny wyczuwalny kolor Zachodu. Może wydawać się to śmieszne, ale wracaliśmy naprawdę do Europy — pierwsze jej tchnienie dopadło nas w Kijowie. Kto przebywał w ZSRR dłużej niż dziesięć dni, żyjąc na co dzień z tułcami ich życiem, wie, o czym mówię.

Odprawa celna po stronie radzieckiej przebiega normalnie: wybebeszone torby, przenicowane do cna kalendarzyki, notesy i portfele. Nie wiem, dlaczego budziło to większe zażenowanie u mnie niż u celniczki. Przeżyliśmy przedstawienie pt. wysiadanie z pociągu — rodzaj ubeckiego zmiękczania — z przymysłem, u którego wykryto, ale mu nie zabrano, bo wyraził skruchę. Jak się okazało potem, nie był podstawiony, rzeczywiście przemycił. Całość kończyły przeprosiny szefa celników — również się zdziwiłem. Polski celnik po „dzień dobry” zadał dwa pytania i zaraz życzył dobrej podróży. Z rzeczonym współpracownikiem nie posiadaliśmy się ze zdziwienia.

— No, Europa prawdziwa! Nawet łąki po tej stronie Bugu inne i bałagan na mijanych placach budowy bardziej swojski, klarowny...

W Chełmie jesteśmy późno, do Zamościa nie ma czym dojechać. Spotkanie z dziećmi, na które tak liczyliśmy, przesuwa się o pół doby. Trzeba zadzwonić do Henryka Radeja, jedynej osoby, jaką w mieście znam. Ale automat na dworcu zepsuty (w małym Jarodzie po dru tej stronie Bugu zainstalowano dwa automaty i oba były sprawne), szukam wskazane go internatu czy jadłodajni z telefonem. Po paru krokach — na ulicy ciemno — pakuję nogę po kostkę w kałużę, Europa robi do mnie perskie oko.

## Z policyjnej przeszłości

**T**RADYCJE policyjne w Polsce często starano się obywatelom PRL zohydzać, ograniczając je tylko do niezbyt chlubnych poczynań tzw. granatowej policji. Tymczasem są one znacznie starsze i niezwykle ciekawe, w znacznej mierze związane z kresami, choćby z reformami księżnej Anny Jabłonowskiej z Kocka.

Tym, którzy dziś narzekają na to, że milicjant jest obwieszony obowiązkami jak choinka błyskotkami, warto przypomnieć, czym zajmował się Departament Policji w XVIII-wiecznej Polsce.

Kiedy w roku 1767, idąc za podszeptami Moskali, szlachta zawiązała konfederację radomską w obronie „złotej wolności”, trzeba było odwoływać zbawienne reformy Czartoryskich. Efekt? Do ówczesnej ruiny moralnej, pozostawionej nam w spadku przez Sasów, przybyła ruina gospodarcza. Należało coś zrobić, by państwo ratować, powołać jakiś skuteczny organ administracyjny. I tak w roku 1774 powstała Rada Nieustająca, naczelny ośrodek władzy, z królem na czele. Nie była to władza z prawdziwego zdarzenia, gdyż — jak wiadomo — Polska ponosiła już konsekwencje i rozbiór, m.in. zakaz dziedziczenia tronu i powiększenia armii ponad 30 tys. żołnierzy.

Rada składała się z 18 senatorów i ministrów oraz 18 przedstawicieli szlachty, wybieranych przez sejm na dwa lata.

Nie mogąc działalność skierować w celu politycznego dźwignięcia państwa, Rada Nieustająca energicznie zabrała się do doskonalenia administracji. Już w tym samym roku wyszła ustawa, że szlachciom

Na- ukraińsko-azerbejdżańsko-enkawudowskie ochy i achy Herlio Radej odpowie krótko:

— Być może macie rację z pojednaniem, ale nie przesadzajcie. Do Chełma przyjeżdżają na wycieczki ukraińskie dzieci i mówią do naszych, podbijając palcem gardło: „My tu jeszcze przyjdziemy was reżat”. A łąki rzeczywiście różnią się, są po prostu lepiej utrzymane.

## Postscriptum

Ne spotkałem Ormian w Azerbejdżanie, ale oni odnaleźli mnie w Polsce. Na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku przebywał w Lublinie prof. dr Robert N. Engibarjan z Wydziału Ideologicznego KC KPZR (rozmowę z jego udziałem publikowały „Relacje” 48/1989). Zadałem mu pytanie:

— Przebywając w sierpniu w Azerbejdżanie, miałem możliwość na miejscu, od podszewki poznać tzw. problem ormiańsko-azerbejdżański, który urasta tam do rangi narodowej psychozy, narodowej obsesji. Azerbejdżanie twierdzą, że Ormianie chcą im zabrać i przyłączyć do Armenii Nagorny Karabach, będący od tysiącleci terytorium azerbejdżańskim, terytorium,

## MIĘDZY PRAWDA

## Adam W. Kulik

na które Ormianie przyszli zaledwie 150 lat temu, chroniąc się, dzięki życzliwości Azerbejdżan, przed przesiedłowaniami w Persji i Turcji. Dziś za te goście Ormianie odplacili się wyrzuceniem z Armenii ponad pół miliona Turków azerbejdżańskich w trzech etapach, w tym, w samym listopadzie 1988 roku, w ciągu 3 dni, wypędzili 180 000 Azerbejdżan! Czemu służy ten konflikt, skoro pierestrojka jest jeszcze dziełem kruchym, niespełnionym?

Odpowiedź profesora Engibarjana spisana z taśmy magnetofonowej:

— Z samego początku chciałbym zaznaczyć, że jestem Ormiańcem z pochodzenia, ale nie reprezentuję tutaj żadnej ze stron. Jestem przede wszystkim człowiekiem radzieckim — to mój pogląd społeczno-polityczny, na drugim planie stawiam korzenie etniczne. Dziś trudno wyobrazić sobie sukcesy prebudowy bez rozwiązania i harmonizacji stosunków narodowościowych. Są to bardzo trudne problemy, wieloaspektowe, wielowarstwowe. Najbardziej ostra część tych zagadnień to stosunki ormiańsko-azerbejdżańskie.

— Wróćmy do korzeni historycznych, mianowicie w 1915 roku, 24 kwietnia miało miejsce pierwsze ludobójstwo XX wieku: dwa miliony Ormian zostało wymordowanych przez osmańską Turcję z powodów religijnych. Część terytorium Armenii, którą włączono 150 lat przed tymi wydarzeniami do rosyjskiego imperium, została przyłączona do Turcji. To jedyne ziemie tutej Rosji, które do dziś znajdują się poza granicami naszego państwa. Na żądanie Turcji obwód nachiczewanicki, gdzie większość stanowili Ormianie (20 proc.), i Nagorny Karabach, gdzie Ormianie liczyli 97 proc. ludności, zostały włączone w skład Azerbejdżanu. Już pod koniec II wojny światowej w Nachiczewanickiej Republice Autonomicznej liczba Azerbejdżan wzrosła do 98 proc. — Ormianie stamtąd po prostu wyjechali. Natomiast w Karabachu stanowili i nadal tworzą większość.

— Problem był wielokrotnie poruszany przez Ormian z prośbą przyłączenia Karabachu do Armenii, a jeśli to okazało się to niemożliwe, prosili o przyznanie temu obzarowi odrębnego statusu. Nachiczewanicka Republika Autonomiczna jest jedyna spośród

wolno kupczy (w Hiszpanii dopiero od roku 1783). a także ustawa wekslowa.

Jednym z pięciu departamentów Rady (oprócz departamentu spraw zewnętrznych, wojny, sprawiedliwości i skarbu) był departament policji. Pierwszym jego zdaniem stała się pomoc tzw. Komisjom Dobrego Porządku (1777 r.) w uporządkowaniu finansów miejskich. Pomoc policji była niezbędna, bowiem mieszczaństwo nie rozumiało własnego interesu, zaś kierujące miastami kliki wyzyskiwały fundusze miejskie dla celów prywatnych i do ustąpienia trzeba je było zmuszać.

Rychoło przekonano się o tym, że policja jest niezastąpiona i z pomocnika stała się głównym nadzorcą

## DZIWNE CZYNNOSCI

## Henryk Makarski

spraw miejskich. Ale do robienia porządków w miastach trzeba było pieniędzy, a sejm nie mógł już uchwalić większych podatków.

I w tej sytuacji departament policji wykazał energię, zabierając się do uporządkowania spraw propinacyjnych. Przedtem dochody w tej dziedzinie uzyskiwane w lwiej części szły do kieszeni starszyny miejskiej lub arendarza propinatora. Szybko do miast zawałił porządek i posłuszeństwo ustawom. Zaczęto naprawiać, budować, sprzątać sikawki, kopać studnie publiczne itp. Dla sprawdzenia prawdziwości nadawanych raportów departament wysyłał swoich urzędników na tzw. lustracje miast.

22 republik autonomicznych, gdzie jeden i ten sam naród wchodzi w skład innej republiki tej samej narodowości. I na odwrót, obwód karabachski jest jedyną w Związku Radzieckim, gdzie obok jest republika związkowa tej samej narodowości — granice dzieli zaledwie 6 kilometrów. To aspekt państwowo-prawny problemu, ale pojawia się i polityczny: rozwiązanie nie jest możliwe bez uwzględnienia całego kontekstu obecnych stosunków narodowościowych. Rozwiązanie takie czy inne będzie precedensem w wyjściu z tego czy innego problemu. Dlatego też, porządkując zagadnienia lokalne, powinniśmy myśleć, jaki wpływ będzie to miało na rozwiązanie innych problemów. Najważniejsze: nie powinno być zwycięzców i zwyciężonych.

— Nie wolno dzisiaj stawiać sprawy: jakie ziemie kiedyś tam należały do kogoś tam. Ziemia należy do tego, kto dzisiaj na niej żyje, dlatego nie można twierdzić, że koniecznie dziś trzeba przywrócić Natchiczewan Armenii, albo pozostałe terytoria armeńskie obecnie zamieszkałe przez inne narody. Będzie to miało dalekie konsekwencje międzynarodowe, ale żądanie narodu Nagorno Karabachu nie jest problemem jednoznaczny. I prawdopodobnie będzie on roz-

## A NIENAWIŚCIĄ

wiązany w kontekście ogólnym rozwiązywania zagadnień narodowościowych w naszym kraju.

— Sprawa własności — ziemia i jej bogactwa do kogo należą: do republik, federacji czy organizacji narodowościowych? Wszystkie te pytania uzupełniają się nawzajem i rozwiązując je, możemy pomóc sobie w rozwikłaniu zasadniczej rzeczy: problemu stosunków narodowościowych, po przekroczeniu którego federacja przestaje być federacją i rozpada się na określone części. Teraz trzeba konkretnie określić, jakie prawa są prawami ogólnoradzieckimi, jakie przysługują republikom i jednostkom autonomicznym. Konieczna jest rozumna granica podziału kompetencji między Związkiem Radzieckim a republikami, jednostkami autonomicznymi. Na pewno znajdziemy to rozwiązanie. Prawo jednostki jest tu najważniejsze, każdy z obywateli ZSRR jest przede wszystkim obywatelem tego wielkiego kraju, a dopiero później Ukraincem, Żydem, Ormianinem itd.

Tyle profesor.

W grudniu 1989 roku na imprezie literackiej w Chełmie spotkałem dwoje Ormian — byli to ludzie kulturalni, wykształceni. Początkowo ogromnie wystraszeni — jak wywnioskowałem, trudnościami, które musieli pokonać wyjeżdżając z ZSRR, ale i sytuacja polityczna na Zakaukaziu miała w owym strachu duży udział — nie chcieli nic mówić. Po dłuższym czasie dowiedziałem się, że Karabach od wieków stanowi terytorium armeńskie — absolutnie żadnych wątpliwości, i powinien być włączony do Armenii. Oczywiście, przypomnieli o kwietniu 1915 roku — Turcy zabijali Ormian czym popadło, kamieniami, łopatami, nożami. Konkluzja końcowa: narody chrześcijańskie powinny trzymać ze sobą (Azerbejdżanie są muzułmanami).

O ile umiem czytać nowomowę, z wypowiedzi prof. Engibariana wynika, że Ormianie rzeczywiście myślą o własnym państwie — Bóg z nimi, życzą im tego. Dlaczego jednak profesor twierdzi, że ziemia jest tego, kto na niej żyje, w odniesieniu do Ormian, a słowem nie upomniał się o pół miliona wypędzonych Azerbejdżan? Oni również, a może przede wszystkim, żyli z ziemi — ziemi, z której ich wypędzono, do dziś często w Armenii nikt nie uprawia!

Dlaczego człowiek z tytułem profesora utożsamia Turków azerbejdżańskich z Turkami osmańskimi? Osmańscy Turcy mordowali również rdzennych mieszkańców Azerbejdżanu jeszcze we wrześniu 1918 ro-

ku. Nie można winy jednego narodu przekładać na drugi, choćby bardzo bliski.

Robert Engibarjan nie zaprzeczył, że Ormianie masowo zasiedlili Karabach ledwie 100—150 lat temu — przyszli więc z terytorium, na którym żyli, na ziemię innego narodu. Dlaczego teraz chcą je odebrać prawowitemu właścicielowi i włączyć do swojego państwa? Ze ich tam teraz więcej? A cóż to za argument! Żydów przed wojną mieszkano w Rzeczypospolitej trzy i pół miliona; czy ktokolwiek ziemię, na których mieszkali, śmiał nazwać Palestyną? Nie mogą tej wypowiedzi określić inaczej jak demagogia.

**C**HAOS w odbieraniu wydarzeń na Zakaukaziu potęguje nasza „zreformowana” telewizja (której zresztą też dobrze życzę). 22 stycznia oglądam-słyszę bezpośrednią relację naszego korespondenta z Moskwy: w Baku nie ma już ani jednego Ormianina, koniec. Ani słowa, ilu Ormian żyło w mieście (150 tys. na ponad dwa miliony mieszkańców), ile dni trwała ewakuacja, gdzie tych ludzi przemieszczono. Reakcja widzów jest najprostszą: sukinyńscy mieszkają w Azerbejdżanie! Żadnej wzmianki, że w trzy listopadowe dni 1988 roku wyrzucono z Armenii 180 000 Azerbejdżan, w jednej koszuli, jak stali, nie pozwalając niczego zabrać ze sobą (prof. Engibarjan też dyskretnie przemilczał tę część mojego pytania), i że to, co teraz dzieje się w Baku, jest paskudnym, ale tylko odwetem! Nasz dzielny korespondent pożalował pięću słów na temat exodusu — w listopadzie 88 Ormianie rozbiłali ludzi w górach (śnieg, mróz) do bielizny, rozstrzelali i podpalali oblane benzyną zwłoki. Jak jest dzisiaj, możemy tylko się domyślać — korespondent siedzi w Moskwie.

Gdy to piszę (26 stycznia 1990), redaktorzy Turcki i Wołoszański niemal cały telewizyjny „Raport” poświęcają Zakaukaziu. Padają daty — nawet wyciągnęli trzęsienie ziemi w Armenii, to samo, o którym Azerbejdżanie mówią: tylko ono nas uratowało. I myślicie, że choć słowo o tych strasznych trzech dniach 22—25.11.88? Nic, 180 tys. ludzi wypędzono, ograbiono z dobytku, nikogo to nie obchodzi! „Raport” tym razem prostuje nowinarka z Moskwy — tylko i aż 10 tys. Ormian uciekło z Baku. Dobrze i to. Dzień później dowiadujemy się, że owych 10 tys. ewakuował do Erewanu Ludowy Front Azerbejdżanu, a więc nie oficjalne władze, tylko ludzie z ulicy, przeczuwając nadchodzący kataklizm. Jak o nich teraz myśleć: sukinyńscy?

W 5. odcinku reportażu zastanawiałem się, na co liczą politycy pięciomilionowego państwa, zabierając ziemie sąsiadowi pięciokrotnie liczniejszemu. Dziś wiemy, czego się doczekali.

Dlaczego Ormian obarczam większą winą? Ledwie pięć miesięcy temu widziałem w Azerbejdżanie ludzi zrozpaczonych, bezradnych, wściekłych na partię, rząd, milicję z powodu bezsilności państwa stojącego na ropie państwa żywnego, w którym rodzi się w zystko (9 stref klimatycznych!). Rozmawiałem ze sklepikarzami, milicjantami, inżynierami, poetami, dziennikarzami i ludźmi aparatu — wszyscy mówili to samo i tak samo. Mogłem odegrać rolę zachodniego dziennikarza, który za Gierka przyjeżdża do Polski i pisze promienny reportaż, tylko po co? Wiedziałem, że narodowa frustracja, poczucie doznanej krzywdy muszą eksplodować — to samo mieliśmy w Polsce roku 80. Wierzyłem jednak w niwelującą moc ogromnego państwa — parę lat wcześniej taki Azerbejdżan nie mógł sobie pozwolić na nic. Przyznaje, tu tkwił błąd: dziesięć lat temu na Polskę surowo spoglądał Breżniew, Związek Radziecki musiał wyciągnąć wnioski z Afganistanu. Azerbejdżan wszedł w sytuację przygotowaną przez Polskę, Węgry, kraje nadbałtyckie, Ukrainę. To już inny czas i inni ludzie, Rosja chwieje się na naszych oczach. W cztery i pół miesiąca byli gotowi, stało się...

(Odc. 13 — koniec)

Nieustającą projektu także weszło do zakresu kompetencji departamentu policji.

Po nabyciu pewnego doświadczenia przystąpiono do organizacji tzw. wydziałów policyjnych, których było w Koronie 12, a to: podlaski, mazowiecki, warszawski, ruski, poznański, sieradzki, kujawski, krakowski, podolski, brasławski, kijowski i lubelski.

A cóż stan bezpieczeństwa publicznego w ówczesnej Polsce? Otóż pod tym względem Polska zajmowała najpierwsze, a więc najzaszczytniejsze miejsce wśród społeczeństw europejskich!

Były na to świadectwa cudzoziemców. W roku 1779 podróżował po naszym kraju profesor uniwersytetu w Cambridge, Coxe, w towarzystwie lorda Herberta. Stwierdza on, że lud wiejski jest bardzo ubogi, a mimo to nigdy i nic im nie zginęło w ciągu całej podróży, choć zostawiali na noc powóz bez dozoru, a nocowali w chatkach i karczmach, również bez żadnych niepożądanych przygód.

Gdy natomiast wjechali w granice państwa rosyjskiego, zostawiali na noc służącego w powozie i po każdym noclegu wypadało im stwierdzić jakąś kradzież...

A podróżnik Biester w roku 1791 twierdzi, że „w Polsce jak we dnie, tak i w nocy, jechać można całkiem bezpiecznie. Często jeden człowiek wiezie kilkakroć sto tysięcy dukatów, jednak nikt nie słyszał, żeby je kiedykolwiek skradziono”.

Widać z powyższych dywagacji, że mimo zajmowania się przez departament policji najróżnorodniejszymi sprawami — bezpieczeństwo publiczne stało bardzo wysoko. Organizacja służby policyjnej to sprawiła czy — siła moralna narodu?

## LISTY

Dokończenie ze str. 6

wyodrębnienia w Polsce Ukraińców w specjalnie chronione grupy, upodobniając ich tym samym do chronionych przez kolonizatorów grup Pigmiejów. Ukraińcom należą się za tę ich więź z Polską równe z Polakami kryteria kwalifikacyjne: obywatelstwo polskie. I tylko to kryterium powinno być brane pod uwagę we wszystkich dziedzinach życia społecznego w Polsce. Nadanie obywatelstwa powinno być uzasadnione i mieć odpowiednią rangę.

Aby uprzędzić wszelkie ataki wyjaśniam: że nie jestem historykiem z dyplomem (KUL, UMCS), tj. takim, który według listu pana L. S. z Warszawy („Relacje” nr 33/89) ma prawo zabierać głos w sprawie Kresów Wschodnich, Piszę, bo ktoś to musi robić, skoro światłych polskich historyków terrorem i dyskryminacyjnym systemem wynagrodzeń zmuszono do walki o biologiczne przetrwanie, eliminując ich z walki o historyczne przestanki bytu narodowego. Natomiast historycy tzw. dyspocyjni, upojeni komunistycznym awansem typu „czworaków na uczelnie” akceptują wszystko, z carskim zaborem Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i paktem Ribbentrop—Molotow włącznie.

Do wypowiedzania się na powyższe tematy uprawniają mnie własne doświadczenia. Przeżyłam napad Ukraińców na miasto Janowa Dolina. Jest to miejsce największej rzezi Polaków na Wołyniu. Przeżyło nas niewiele. Powinam za to zionąć do Ukraińców jedną wielką nienawiścią. Pamiętam jednak także i to, że gdy NKWD postawiło mego Ojca-Legionistę „pod stienką”, to wołyńscy Ukraińcy udzieliłi nam pomocy i ukryli przed wywózką na Sybir.

Dlatego, chociaż przeżyłam rzeczy straszne, usiłuję gasić w sobie nienawiść przypomnieniem: pochodzimy z jednej sarmacko-polańskiej rodziny, a w rodzinie różnie bywa... Najgorzej, gdy wtrącają się obcy. I to przekazuje pod rozwagę „bra ciom Ukraińcom”, szczególnie tym ze Lwowa Także Polakom.

Janina Remlein  
Biała Podlaska

## Na Białorusi

11 listopada 1989 r. uroczystość obchodzona na Białorusi 50. rocznicę połączenia Zachodniej Białorusi z BSRR. Centralna akademii odbyła się w Mińsku, w Teatrze Opery i Baletu. Mówiono polskiej okupacji, kolonialnym ucisku itd.

Rzeczywiście los Białorusinów w II Rzeczypospolitej był ciężki. Poziom życia w BSRR nie był jednak wyższy. Wprawdzie w latach 20. rozkwitła w BSRR białoruska kultura. (Jej ośrodkiem był uniwersytet w Mińsku). Zapowiedzią uszak „nowych” czasów stał się proces „listopadowców” — pięciu uczniów ze Stucka w wieku 15—22 lat i nauczyciela J. Listopada, którzy wydawali (w rękopisie) piśmiennictwo literackie. Wyroki 2—5 lat więzienia.

W 1930 r. przeprowadzono aresztowania wśród białoruskiej inteligencji — absolwentów i wykładowców uniwersytetu. Poeta Janka Kupala, załamany przesłuchaniami, próbował popełnić samobójstwo przez rozcięcie brzucha. Odratowano go. W lutym 1931 rozstrzelili się prof. Ignatowski.

Później zaczęły się masowe represje, które dotknęły setki tysięcy Białorusinów ze wszystkich warstw społecznych. Jednych wysiedlono, innych wymordowano, m.in. w słynnych Kuropatach.

Po „wyzwoleniu” Zachodniej Białorusi mordowano i wysiedlano jej mieszkańców. Ostatnim akordem było wymordowanie więźniów politycznych, ewakuowanych z Mińska w 1941 r., po wybuchu wojny z Niemcami.

W czasie akademii wiele mówiono o zasługach KPZB [Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi — przyp. red.]. Bardzo niewiele działaczy tej partii przeżyło represje. Janka Kupala w 1942 r. „spadł do otworu klatki schodowej” w Moskwie. Na Białorusi dyskutuje się teraz, czy było to samobójstwo, czy polityczne morderstwo.

Połączona Białoruś nie spełniła narodowych oczekiwań. Język białoruski został wyparty przez rosyjski. Zniekształcono lub zupełnie zmieniono setki nazw miejscowości włącznie ze stolicą. System kształcenia zapewnia przewagę językowi rosyjskiemu, np. na lekcjach białoruskiego uczniowie poznają tylko utwory autorów białoruskich; literatury rosyjskiej i światowej naucza się po rosyjsku. W programie nie ma utworów Mickiewicza związanego z białoruską kulturą, wielokrotnie tłumaczonego na białoruski (np. „Pan Tadeusz”).

Stalinowska struktura utrudnia narodowe odrodzenie Białorusinów. Front Narodowy organizował się na „emigracji”, w Wilnie. Ołbrzymie siły policyjne skierowano w 1988 r. przeciw uczestnikom obchodów Święta Zmarłych w Mińsku. W 1989 r. zabroniono organizować manifestację w Brześciu. Nieposłusznych ukarano wysokimi (200 rubli) grzywnami.

W 1986 r. duża część Białorusi została skażona w wyniku katastrofy w Czarnobylu. W najbardziej skażonej strefie nadal żyją dzieci. Wzrósł poziom zachorowań, m.in. na choroby tarczycy i anemię. Na skażonych terenach nadal produkuje się żywność. Koszty usunięcia skutków awarii na Białorusi oceniono na 17 mld rubli. (BAM kosztował 10 mld rubli).

W tej sytuacji rzeczywiście wygodniej jest mówić o wydarzeniach sprzed 50 lat.

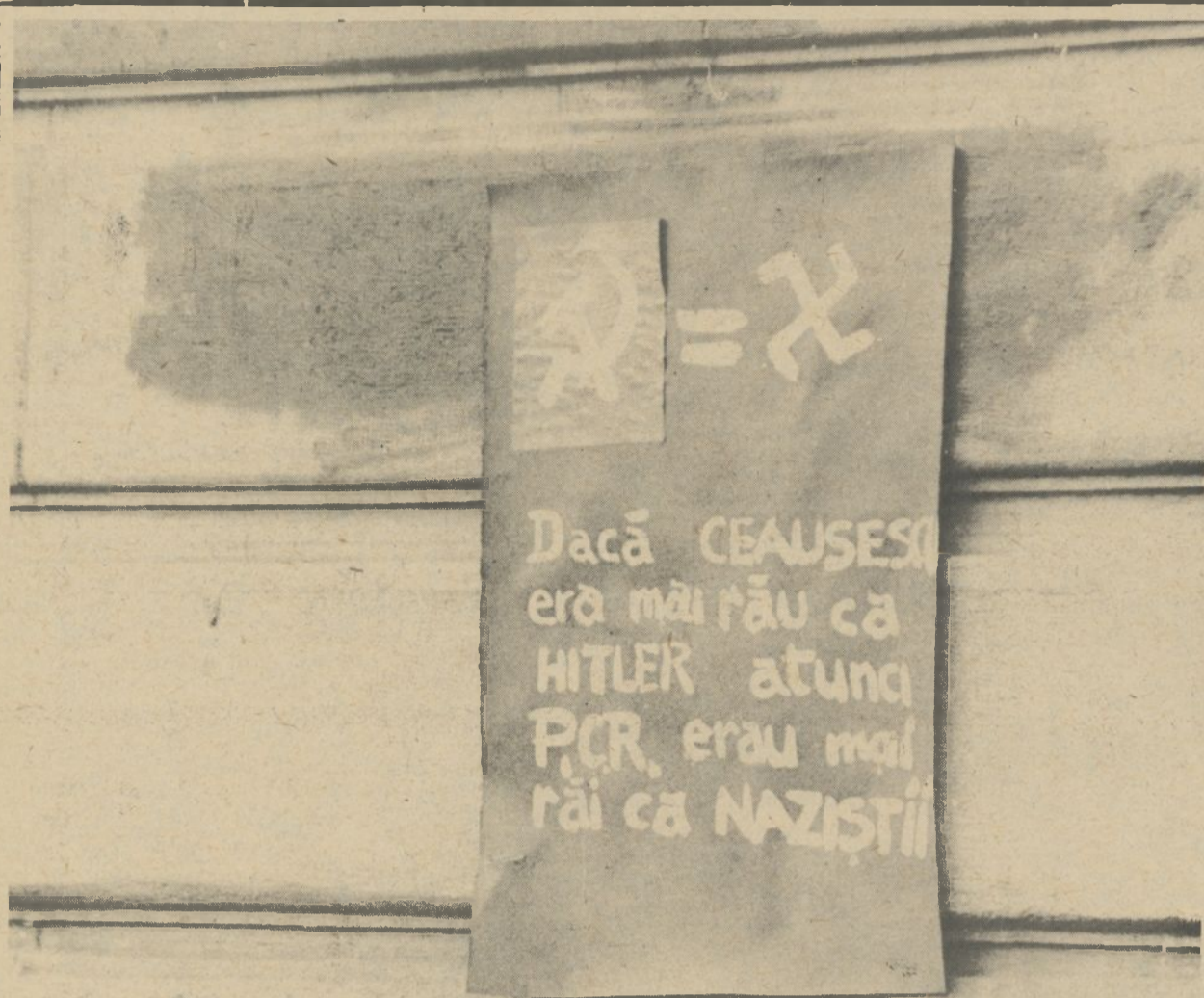
Jerzy Pankiewicz  
Wrocław

## DEPARTAMENTU POLICJI

nia departamentu policji należało wszystko, co mogło się przyczynić do zwiększenia dobrobytu i porządku publicznego w kraju!

Od roku 1787 policja zajmuje się także sprawą regulacji rzek przez budowanie „plant”, czyli tam. W zabiegach o dobre drogi departament policji stanowił główne oparcie i dostarczał wszelkiej pomocy i opieki, skutkiem czego około 1787 roku było w Polsce aż 14 traktów pocztowych (nawet we Francji istniało wtedy zaledwie kilka dróg dobrych, tzw. traktów królewskich).

O różnorodności działania departamentu policji niech świadczy i ten przykład. W roku 1784 Kollataj zaproponował, by uniwersytet krakowski przyjął na naukę chirurgii, „jako na osobne kursa”, 120 chłopców z różnych miast i wykonanie zatwierdzonego przez Radę



„Jeśli Ceausescu był gorszy niż Hitler, to KPR była gorsza od nazistów”



Jassy — kolejka po jabłka



Jassy — żebrzące dzieci na ulicach

## RUMUNIA PIERWSZY WOLNOŚCI

Fotografował Jacek Łki



Jassy — demonstracja studencka przyklepach

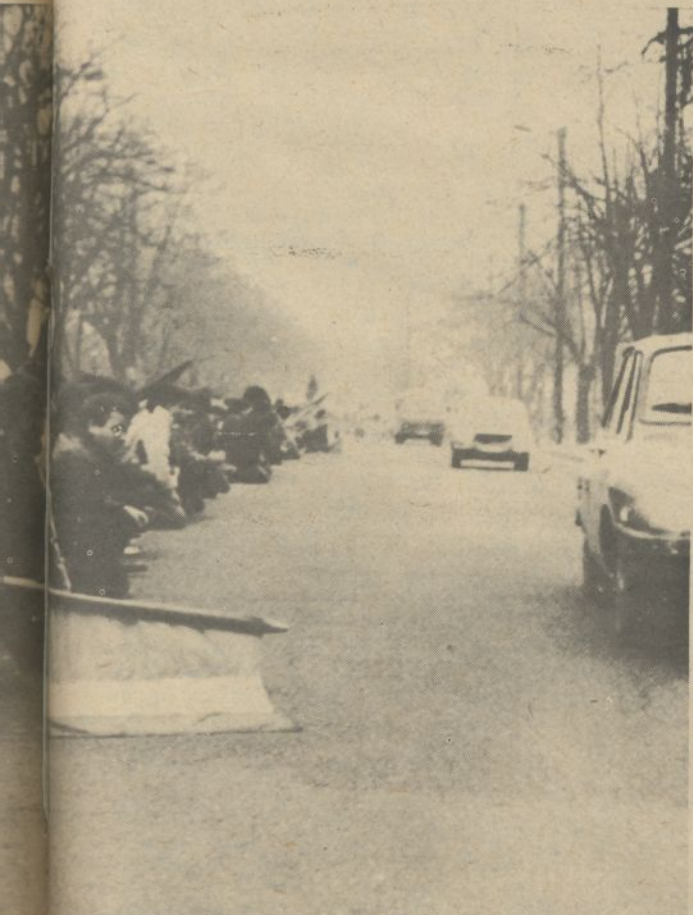




Bukareszt — transportery opancerzone strzegą gmachu TV

# MIESIĄC

Lej jr



eklancho dzac przed cerkwią



Bukareszt — palenie legitymacji partyjnych na placu przed uniwersytetem

## Dokończenie ze str. 1

— Lech Wałęsa mówi: „Ja jestem tylko świetny amator, a miejsca dla amatorów nie będzie...” Czy jest to słuszne założenie, szczególnie dzisiaj, w takiej sytuacji gospodarczej? Czy dzisiaj nie powinny być najważniejsze predyspozycje, zdolności i czy koniecznie musimy opierać się na „papierku” ze szkoły o wątpliwych wartościach edukacyjnych?

— Polityka jest trochę sztuką, tutaj pewne predyspozycje — nie wiem, czy wrodzone, czy też nabyte — są ważniejsze niż formalne kwalifikacje, chociaż i te są bardzo istotne. Nie ma kierunku studiów, który kształciłby polityków — i chwała Bogu. Trudno powiedzieć także, jakie kierunki, jaka dziedzina byłaby bardziej pomocna politykowi? Może prawo, historia, ale tylko w dobrej szkole. Być może bardziej pomocne byłyby kwalifikacje ekonomiczne, szczególnie w dzisiejszych czasach. To naprawdę trudno powiedzieć. Lech Wałęsa, moim zdaniem, nie jest amatorem. Jest specyficznym typem zawodowego polityka. Nie jest to typ polityka klasycznego i nie do każdej roli. Na Zachodzie często wybitni politycy nie są premierami, tylko ministrami. Nie wyobrażam sobie Wałęsę w roli ministra, lecz prezydenta lub ewentualnie premiera.

— Niemniej krąży opinia, że Wałęsa miał bardzo mały wkład w przemiany, które w Polsce zachodzą, że jest tylko „sterowaną amatorską marionetką”.

— Nieprawda, niby przez kogo?

— Niedawno rozmawiałem z pewną rodziną sopockich intelektualistów, którzy twierdzą, że Wałęsa był sterowany przez papieża. Zauważyłem, że tego samego zdania jest bardzo dużo osób.

— Oczywiście, wpływ papieża na Polskę jest bardzo duży, i tym samym także na Wałęsę. Natomiast naiwnością jest twierdzenie, że Lech to człowiek sterowany.

— Rozumiem więc, że decyzje wychodzą wyłącznie od niego?

— Niektóre decyzje były podejmowane wspólnie, ale większość sam podejmował. Także ta podstawa, dotycząca rozpoczęcia ofensywy, która zakończyła się utworzeniem koalicji, całkowicie była jego. Spotkaliśmy się rano, a Lech powiedział: „Robimy...”

— Generalnie przypisuje się Wałęsie wiele wad, np. bardzo spontaniczne podejmowanie decyzji, często niezgodnych z kalkulacją społeczną.

— Lech nie jest człowiekiem usystematyzowanym, systematycznym w pracy, dlatego też mówię, że jego kwalifikacje są unikalne — nie mógłby piastować każdej funkcji w polityce. Jego system jest bardzo indywidualny, więc zapewne zachowa go do końca życia. Często porównuje się Wałęsę — szczególnie ostatnio — do Piłsudskiego, który też nie był zdolny do pracy systematycznej. Ale pomimo że obaj odegrali znaczną rolę w historii Polski, są to dwie różne osobowości. Nieusystematyzowanie Wałęsę w pracy to także duże plusy, objawiające się swobodą członków KKW. Nie istnieje żadna, jak plotka głosi, dyktatura Wałęsę wobec członków Prezydium. Natomiast, gdyby on był systematyczny, to automatycznie swoboda dla nas byłaby mniejsza, bowiem liczba podejmowanych przez niego decyzji — często drobnych — byłaby większa. Niemniej Lech obecnie samodzielnie podejmuje decyzje najważniejsze, mimo że, jak często mówił, wokół niego wyrosło najwięcej indywidualności. Nie zawsze moje stosunki z Wałęsą układały się dobrze, szczególnie w pewnym okresie.

— No właśnie, ponoć w pewnym okresie reprezentował pan idee Andrzeja Gwiazdy?

— Znałem kiedyś Andrzeja lepiej niż Lecha. Kiedyś polubiłem go i na swój sposób lubię i cenie do dziś. Jesienią 1980 roku — tutaj nie przypisuję sobie żadnego błędu politycznego — popierałem politykę Gwiazdy. Sądzę, że była to wtedy jedyna polityka zdolna stworzyć potężną siłę. Natomiast, z biegiem czasu polityka i poglądy Andrzeja Gwiazdy coraz mniej podobały mi się. Andrzej, moim zdaniem, w ogóle nie jest politykiem, tylko społecznie wrażliwym człowiekiem posiadającym, co prawda mniejszą niż Wałęsa, aczkolwiek dużą, cha-

ryzmę. W pewnym okresie nie wydawało się w Gdańsku, że Gwiazda przegrywa. Wręcz przeciwnie, wszystko wyglądało na to, że przyszłość będzie do niego należeć. Później zaczęło się to zmieniać, a mnie trudno było opuścić przegrujących, pomimo że Lech czynił mi różne propozycje.

— Wspomniał pan, że w pewnym okresie wydawało się, że Gwiazda był bardziej na „świeczniku” niż Wałęsa, że Gwiazda będzie reprezentował przyszłość. W środowisku gdańskim funkcjonuje opinia, że nadejdzie moment, kiedy ludzie odwrócą się od Wałęsę i zwrócą się ku Andrzejowi Gwieździe.

— Nie sądzę, ażeby ludzie szybko odwrócili się od Wałęsę. Co prawda, utrata autorytetu może zdarzyć się każdemu przywódcy, ale wątpię, by Gwiazda w tej chwili był poważnym konkurentem Wałęsę. Powtarzam, Andrzej nie jest, moim zdaniem, politykiem. Nie widzę dla niego specjalnych szans w przyszłości. Aczkolwiek uważam, że jest to człowiek, który ma już swoje miejsce w historii Polski.

— Jest pan w Polsce jednym z ludzi najlepiej znających Wałęsę, proponuję, ażebyśmy go poddali bardziej szczegółowej charakterystyce ze względu na dużą kontrowersyjność tego człowieka.

— Nigdy przedtem w życiu nie spotkałem człowieka tak piekielnie skompli-

bi ludzi wrażliwych, ale często też potrafi ranić innych.

— Ponoć często miewa różne humory, jest kapryśny?

— Tak. Nie jest człowiekiem, którego obce są różne humory. Bez wątpienia ma poczucie przewagi nad innymi, lubi to. Generalnie nie jest to człowiek — zresztą żaden z przywódców nie jest — o którym można byłoby pisać czy opowiadać bajeczki dla grzecznych dzieci.

— Niewątpliwie zrobił karierę tyśiąclecia. Z pana wypowiedzi rozumiem, że w bardzo małym stopniu odegrało tu rolę szczęście, zdecydowały raczej predyspozycje?

— Szczęście w tej sytuacji musi być zawsze, bez szczęścia nie ma mowy o takiej karierze. Natomiast w grę wchodzi tutaj także predyspozycje, niebanalna osobowość. Nie jest prawdą, że gdyby Wałęsa był człowiekiem z tłumu, zwyczajnym przywódcą robotniczym na skalę stoczni gdańskiej, zdołałby utrzymać swoją pozycję przez tyle niezwykle trudnych lat. Kariera Wałęsę nie jest przypadkiem.

— Przejdźmy do pytania ogólniejszego, do przemian, zachodzących aktualnie w Polsce, nurtujących każdego obywatela naszego nieszczęśliwego kraju. Co pan o nich sądzi, mam

# O WAŁĘSIE ORAZ O WAŁĘSIE

kowanego jak Lech Wałęsa. Zanim przejdę do oceny dzisiejszej, sięgnę pamięcią do okresu sprzed Sierpnia 80, bowiem wówczas prowadziłem w myślach rejestr ocen robotników, z którymi współpracowałem. U Wałęsę dostrzegłem wyraźne cechy przywódcze. One były widoczne jak na dłoni, mimo że wówczas nie był przywódcą WKZ, a jedynie jednym z liderów. Andrzej Gwiazda był tam ważniejszym człowiekiem. Natomiast Wałęsa zdecydowanie był najważniejszym, najbardziej wybijającym się wśród robotników. Oceniałem go wówczas jako działacza czysto robotniczego, koncentrującego swoje zainteresowania na problemach, które nazwalibyśmy dziś czysto związkowymi.

— Czyli nie oglądał się wstecz, tylko patrzył przed siebie?

— Tak, tak, zdecydowanie patrzył przed siebie. W kontaktach międzyludzkich nie był najłatwiejszy. Olbrzymie zdolności przywódcze ujawniły się już w czasie strajków Sierpnia 80, wówczas to zorientowałem się, że jest człowiekiem na dużo, dużo większą skalę, że posiada olbrzymi instyngt polityczny, polegający na błyskawicznym rozeznaniu sytuacji i umiejętności dostosowania się do niej z korzyścią dla siebie i celu, do którego zmierza. Zawsze potrafi wykorzystać różne siły i sytuacje do skutecznego kierowania ruchem związkowym, był i jest przy tym bardzo elastyczny. Generalnie jest dzisiaj człowiekiem dużo sympatyczniejszym niż kiedyś. Potrafi pracować ciężko, ale miewa też okresy, kiedy nie chce mu się pracować, praca go męczy. Często zmienia swoje deklaracje, dużo kalkuluje, poświęca dużo, dużo czasu myśleniu, co by tutaj w określonej sytuacji zrobić. W tym sensie jest typowym człowiekiem polityki. Nie ma sprecyzowanego poczucia więzi z jakakolwiek grupą społeczną tylko z ogółem. Natomiast pamięta o swoim pochodzeniu i nie próbuje się go wypierać, wręcz przeciwnie, często go podkreśla. Pozostała mu głęboka niechęć do biurokracji, do wszystkiego, co zbyt ciężko, co utrudnia osiągnąć cel, jest czasochłonne. Rozumie potrzebę działania fachowego, ale nie zawsze lubi, by mu coś tłumaczył. Posiada dużą umiejętność rozpoznawania intencji innych, nawet intencji głęboko ukrytych. Pod tym względem jest człowiekiem rzadko myślącym się. Lu-

na myśli sferę ekonomiczną i polityczną?

— Zaczęć może od sfery politycznej, bowiem ta dziedzina jest mi bliższa z racji zainteresowań. Cóż, osiągnęliśmy w tej mierze wielkie sukcesy. Już dwa lata temu wiedziałem, że nam zaproponują szeroki udział w rządzie. Gdy nam to jeszcze przed „okrągłym stołem” zaproponowano, nie byłem w ogóle zdziwiony. To musiało się stać. Natomiast, że będziemy mieli swojego premiera, tego się nie spodziewałem. Dopiero po wyborach zrozumiałem, że ich wynik nie wyklucza takiej możliwości. Uważam, że dalszy pozytywny proces rozwoju tej sfery w znacznym stopniu zależy od szybkości zachodzących przemian demokratyzacji. Oczywiście, jeżeli one w ogóle nie załamią się pod wpływem czynników zewnętrznych (międzynarodowych) lub wewnętrznych (głównie ekonomicznych). Pozytywny wynik procesów politycznych w znacznej mierze będzie też zależał od tego, co stanie się z partią. Czy ona zdoła przystosować się do nowych warunków, do gry demokratycznej, co również oznacza dla niej rezygnację z roli partii państwa. A dalej, to się również wiąże z likwidacją poważnych fragmentów nomenklatury, a także stopniowym odpolitycznieniem milicji i wojska. Jeżeli chodzi o sytuację ekonomiczną, to nie będę ukrywał, że wielkim sukcesem rządu Mazowieckiego jest przeprowadzenie operacji podwyżek cenowych w warunkach spokoju i zrozumienia społecznego, jest to także zasługa związku „Solidarność”. Drugim wielkim jego sukcesem jest przełamanie blokady ekonomicznej Zachodu.

— A ewentualne niebezpieczeństwa, czy takie istnieją?

— Owszem, istnieją. Wiąza się z kolejnym etapem podwyżek cenowych i bezrobociem. Chociaż uważam, że Polsce bezrobocie na dużą skalę nie grozi.

— Co pan sądzi o prywatyzacji, czy w szerszym wymiarze ta operacja w Polsce jest możliwa, biorąc pod uwagę niesprzyjające warunki, choćby paranoiczną telekomunikację?

— Ona jest możliwa, tylko musi to być proces ciągły, rozłożony w czasie.

— Wydaje mi się, że przystępując do prywatyzacji w Polsce, należałoby przede wszystkim zmienić prawo handlowe, które w naszym kraju funkcjo-

nuje od 1933 roku. Inaczej, może to wyglądać, że chcemy budować dom bez fundamentów. Obawiam się, czy decyzja o prywatyzacji nie jest kolejną decyzją spontaniczną, nieprzemysłaną.

— Spontaniczność była charakterystyczna dla „Solidarności” z lat 1980—81. A dzisiaj, jak wiemy, „Solidarność” ma inne oblicze. Decyzje są podejmowane, poza małymi wyjątkami, przy uwzględnieniu normalnych procedur. A prawo handlowe z 1933 roku, poza przelicznikiem finansowym obowiązującym w tamtym okresie, i na dzisiaj jest dobre.

— Dużo jest optymizmu w panu i pańskich słowach. Optymizm istnieje także w społeczeństwie. Ale pod wpływem novum demokracji zapominamy o sytuacji naszej gospodarki, która znajduje się w stanie agonii. Niektórzy twierdzą, że kryzys jest znacznie większy niż po wojnie. Co będzie, gdy optymizm się wypali i nie starczy nam wiary i nadziei?

— Ci, którzy twierdzą, że po wojnie było lepiej, zapominają, że wtedy przypadało trzydzieści parę dkg chleba na osobę dziennie. Natomiast rzeczywiste sytuacja gospodarcza w Polsce jest dziś bardzo, bardzo zła. Czy starczy nam optymizmu i wiary na przetrwanie kryzysu? Sądzę, że od początku 1990 roku brakuje w społeczeństwie tych czynników. Oczywiście, olbrzymie jest zaufanie społeczne do rządu Mazowieckiego. Gdyby nie ten rząd, to w ogóle żadnego procesu zmierzającego do uzdrowienia gospodarki w Polsce nie udało się przeprowadzić, bowiem społeczeństwo dawno już straciło zaufanie do poprzedniej władzy. Czy nastąpi załamanie psychiczne? Cóż, pozostaje wierzyć, że nie, bowiem w innym przypadku nic się w Polsce nie powiedzie. Niestety, przyszłość kraju nie jest do przewidzenia. Jestem natomiast przekonany, że jeszcze wielu młodych, energicznych, aktywnych Polaków wyemigruje w poszukiwaniu lepszego bytu.

— Czyli niepewność? Zatem czy słuszne jest to, co Wałęsa w zeszłym roku po powrocie z USA powiedział na Okęciu do premiera Mazowieckiego, który udawał się z wizytą do Moskwy: „Życzę panu, panie premierze, ażeby z Moskwy przywiózł pan to samo co ja z Ameryki...” Czy można formułować tak optymistyczne oceny w tak ciężkiej sytuacji społeczno-gospodarczej? Czy powinno się dawać społeczeństwu 100-procentową nadzieję, a za chwilę robić radykalne podwyżki i tym samym tworzyć społeczną zapaść?

— To była przenośnia Wałęsę. On bardzo często posługuje się tego typu określeniami. Był bardzo zadowolony z efektu wizyty w Ameryce i miał ku temu podstawy. Zyczył premierowi podobnego sukcesu, ale w zupełnie innej sferze. Przecież nie chodziło tutaj o olbrzymi aplauz dla Mazowieckiego w Radzie Najwyższej ZSRR, o popularność polskiego problemu, popularyzację w ogóle Polski. Chodziło o to, ażeby zrobić kolejny krok w kierunku partnerskich stosunków, a także o inne istotne sprawy polityczne.

— Jest pan doktorem prawa, skąd zatem u pana wzięły się zainteresowania polityczne?

— Cóż, od dawna jestem w opozycji, a polityką interesuję się nieomal od dzieciństwa.

— Czy pan wie, że są tacy, którzy dają panu dużą szansę, że zostanie pan po gen. Jaruzelskim następnym prezydentem?

— Nigdy tego nie słyszałem. Uważam, że jestem człowiekiem, który bardziej nadaje się na numer dwa niż jeden. Jako trzynastoletni chłopiec marzyłem, by być politykiem. Punktem odniesienia była dla mnie ówczesna polityka Francji, ona mnie fascynowała. Także bardziej fascynowała mnie pozycja premiera niż prezydenta.

— A więc szansa na premiera?

— Nie sądzę, ażeby miał być w przyszłości premierem Polski. To są tylko dziecięce marzenia. Natomiast jest duża nadzieja, że Lech Wałęsa będzie w przyszłości prezydentem naszego kraju.

Bogdan Kuncewicz  
Rozmawiał:

# ABECADŁO SAMORZĄDNOŚCI

Dokończenie ze str. 1

względnie małe zbiorowości, w których ludzie mogli znać się bezpośrednio, jak na przykład: wieś lub ich zespoły, osady, małe miasta. Budowane u nas w dużych miastach spółdzielcze osiedla mieszkaniowe też są pomyślane jako jednostki społeczne, które powinny spełniać wiele funkcji modelowych społeczności lokalnych.

Cechą charakterystyczną społeczności lokalnych była daleko posunięta ich samowystarczalność. Były one bowiem tym typem zbiorowości, które jako jedyne mogły objąć całość życia społecznego człowieka, wszystkie niemal jego role i zaspokoić niemal wszystkie jego potrzeby. Wykształciły one cały system wzajemnej pomocy i współpracy, wspólnych wartości i wspólnych przekonań, własne autorytety i formy kontroli zachowań. Stworzyły one coś w rodzaju małych ojczyzn, darzonych przez mieszkańców szczególnym rodzajem wyróżnienia, uznania, emocji i działań.

Spoločności lokalne spełniały także znaczącą rolę w procesie uspołecznienia jednostek, przystosowania mieszkańców do życia w grupach społecznych, pełnienia wielorakich ról, działania na rzecz współmieszkańców. Z drugiej strony dostarczały im szczególnych wartości, jakie daje życie wśród znajomych ludzi: poczucie bezpieczeństwa, lokalne uznanie i szacunek, możliwość oparcia się na współmieszkańcach w przełomowych lub krytycznych okresach życia. Stwarzały mechanizmy motywacji do działań i realizacji lokalnych zadań. Wraz z rodziną kształtowały w dużym stopniu postawy. Nie zapominajmy wszakże i o tym, że w szczególnych okolicznościach mogły być także formą tyranii i zniewolenia, zwłaszcza w stosunku do niekonwencjonalnych zachowań, działań na rzecz zmian i reprezentujących je osób.

Jako organizmy o dużym stopniu samowystarczalności, społeczności lokalne — szczególnie te tradycyjne — silną rzeczą koncentrowały się na sprawach lokalnych. Ich cechą wyróżniającą była właśnie lokalność. Używając modnego od kilku lat określenia — stanowiły one typowe struktury poziome, horyzontalne, w systemie organizacyjnym społeczeństwa. Pod wieloma względami mogły być uważane jako podstawowe i naturalne jednostki organizacji życia społecznego. Interesujący obraz literacki ich funkcjonowania przedstawił Władysław Reymont w „Chłopach”.

Zupełnie inaczej rzecz wygląda, gdy na te same sprawy patrzy się z innej perspektywy, a mianowicie: z perspektywy organizacji państwa i sprawowania władzy administracyjnej. Wówczas pod uwagę bierze się funkcjonowanie systemów społecznych w układzie pionowym, wertykalnym. Układ ten zakłada hierarchiczne przyporządkowanie wielu instytucji władzy państwowej i jej organów wykonawczych, konieczność określenia formalnych zasad ich funkcjonowania, zakresu ich kompetencji itp. Analogiczny układ przyporządkowania pionowego zaczęły tworzyć rozwijające się systemy gospodarcze nowożytnych społeczeństw industrialnych. W układach tych przewagę zyskiwały — bo dla sprawnego ich funkcjonowania zyskiwać ją musiały — formalne przepisy, prawo w różnych jego postaciach.

**M**AJĄC przed oczyma oba te systemy organizacji społecznej (poziomej i pionowej), nie trudno spostrzec, że historia organizacji społeczeństw i ich ustrojów państwowych jest historią wzajemnego ich przenikania się, uzupełniania się i wzajemnego wspomaganie lub też rywalizacji, napięć, konfliktów i walki o zakres wpływów.

Tak więc społeczności lokalne bardzo często dla realizacji własnych zadań wylaniały z siebie struktury mniej lub bardziej sformalizowane, wybierały „szefów”, wyznaczały wójtów, szeryfów lub całe „zarządy”, określały także zakresy ich kompetencji i czas sprawowania władzy. Tworzyły coś, co można by nazwać samorządem lokalnym lub jego załączkiem. Powoływały bowiem pewien system organizacji tych zbiorowości wraz z mniej lub bardziej licznymi organami wykonawczymi. W tradycyjnych społecznościach lokalnych z reguły jednak granica między tym, co nieformalne, a tym, co sformalizowane, była bardzo

plynna, a w „systemie sprawowania władzy lokalnej” przewagę zyskiwał zwykle „układ nieformalny”, wyznaczony zwyczajami, lokalną „opinią publiczną” lub obrzędowością. W sumie więc „samorząd lokalny” tych społeczności ciekawie zastępował lub wspomagał administrację państwową.

Z kolei systemy administracyjne państw zachodnioeuropejskiego kręgu cywilizacyjnego przez całe stulecie w dużej mierze opierały się na tych naturalnych jednostkach społecznych. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów system demokracji szlacheckiej, szczególnie zaś instytucja sejmików miała u podstaw ideę samorządności i samorządu terytorialnego. W miastach królewskich istniały rady miejskie oraz samorządy korporacyjne.

**P**RAWDZIWE wyzwanie dla idei samorządności i opartych na niej społeczności lokalnych stanowią dwa procesy zapoczątkowane w czasach nowożytnych, a mianowicie: postępujący społeczny podział pracy i tendencje do tworzenia się scentralizowanych struktur polityczno-państwowych. Niosły one ze sobą nowe zasady organizacji życia społecznego. W coraz większym stopniu wzmacniały rolę tzw. układu pionowego, tj. organizacji życia społecznego, a w większym jeszcze stopniu — polityczno-państwowego i gospodarczego, opartego na zasadzie hierarchicznego przyporządkowania.

Doskonalący się szybko system wytwarzania i dystrybucji dóbr rozbił społeczności lokalne w ich centralnym punkcie, a mianowicie: samowystarczalności. Przewartościowywał i to gruntownie, istniejące uświęcone tradycją sposoby życia w tych społecznościach. W krwiobieg społeczny wprowadzał wymóg efektywności. Masowa produkcja mogła być tańsza, mogła też zaspokajać coraz więcej i coraz to bardziej wyrafinowanych potrzeb, w których pojawiano się sama uczestniczyła. Tworzyła nowy, pozalokalny rynek pracy, intensyfikując na niespotykaną dotychczas skalę ruchy wędrownicze ludności. Otwierała więc siłą rzeczy społeczności lokalne na struktury zewnętrzne: gospodarcze, a w ślad za tym kształceniowo-oświatowe, kulturalne, polityczne.

Odpowiedzią na te wyzwania, wsparte dodatkowo tendencjami centralistycznymi administracji państwowej, musiały być siłą rzeczy postępująca formalizacja struktur lokalnych. Dokonywało się to albo na zasadzie oddolnych przekształceń przystosowawczych w celu sprostanania wymogom efektywności, albo też następowało na zasadzie administracyjnego wymuszenia. W demokratycznych systemach społecznych proces ten rozłożony był na wiele, wiele lat, jeśli nie stulecia, i podlegał ciąglemu doskonaleniu na podstawie prób i błędów. Przyniósł też nie jeden, ale kilka rozwiązań modelowych w zależności od specyfiki danego kraju, typu społeczności lokalnej (wieś, miasto), jej wielkości oraz usytuowania w strukturze administracyjnej państwa.

Systemy administracyjne nowożytnych państw zachodniego kręgu kulturowego uporządkowały sprawy zarządzania państwem od władz naczelnych, aż po szczeble najniższe w ramach jednolitego systemu administracyjnego. Konsekwencją tego uporządkowania było utworzenie organów administracji państwowej na poziomie podstawowym. Przy ich tworzeniu brano pod uwagę ukształtowane historycznie lokalne wspólnoty mieszkańców, ale jednocześnie i możliwości względnie samodzielnego funkcjonowania w obrębie struktur wyższego szczebla, przede wszystkim jako podstawowych jednostek gospodarczych i społecznych zdolnych do zaspokojenia potrzeb mieszkańców na poziomie lokalnym. Oznaczało to albo przyznanie istniejącym społecznościom lokalnym administracyjnego statusu gminy, albo też łączenie kilku samodzielnych dotychczas jednostek społecznych w administracyjną gminę. W obu wypadkach powoływanołym jednostkom administracyjnym pozostawiano również uprawnienia samorządowe.

**W**ARUNKI, w jakich pozostawało społeczeństwo polskie po rozbiorach, generalnie nie sprzyjały rozwojowi prawdziwego samorządu terytorialnego. W zaborze rosyjskim z samorządu szlacheckie-

go pozostały tylko puste nazwy i honorowe tytuły, zaś z „samorządu gminnego”, kiedy po ukazie uwłaszczeniowym z 1864 roku powstały prawne warunki jego tworzenia, wykluczono kleru, nauczycieli i szlachtę. Zyskał on ponadto kuratelę w postaci tzw. komisarzy, nasyłanych przez administrację rosyjską. W zaborze austriackim, aczkolwiek Galicja cieszyła się znaczną autonomią, w praktyce funkcjonowanie samorządów terytorialnych zmajoryzowały konflikty o serwituty i walka z lichwą.

Mimo bardzo niekorzystnych warunków politycznych stosunkowo najlepiej rozwinął się samorząd terytorialny w zaborze pruskim. Działo się tak za sprawą ludzi, wielkich Polaków tej ziemi, którzy umieli korzystać z tego, że państwo pruskie było jednak państwem prawnym. Przykładem ich zorganizowanych działań był m.in. wspaniale prosperujący bazar poznański, rozwinięty system polskiego szkolnictwa, tzw. parcelacja sąsiedzka (zakaz budowy domów przez Polaków na nowych działkach był omijany w ten sposób, że sąsiedzi odstępowali zainteresowanemu część swoich działek, które nie były objęte zakazem), a zgola ewenementem — powstanie w 1875 roku polskiego Teatru Narodowego, kiedy to Kulturkampf Bismarcka był u szczytu swojej aktywności.

W okresie II Rzeczypospolitej jednolity system samorządu terytorialnego został wprowadzony dopiero w 1933 roku. Był on w zasadzie dwustopniowy. Na szczeblu podstawowym jego organami uchwalodawczymi były wybieralne rady gminne i miejskie, zaś organami wykonawczymi — odpowiednio wójt i burmistrz. Organami samorządowymi drugiego stopnia były rady powiatowe, ale w powiatach wybierane wydziały miały na czele mianowanego starostę. W tym systemie jedynie Śląsk miał zorganizowany samorząd terytorialny na szczeblu województwa.

Pierwsze lata po wyzwoleniu były pod względem prawnym kontynuacją systemu samorządowego II Rzeczypospolitej, ale już wtedy samorząd terytorialny został ubezwłasnowolniony przez bezpardonową walkę z opozycją i ograniczanie praw obywatelskich mimo głośnej retoryki mówiącej o poszerzaniu tych praw. W sferze prawnej najpierw ustawa o jednolitych organach władzy państwowej z 1950 roku, a następnie Konstytucja z 1952 roku wprowadzały na wzór radziecki system rad narodowych, tj. organów spełniających jednocześnie funkcje samorządowe i administracji państwowej w ramach „jednolitego systemu”.

W obu tych dokumentach podstawowym zadaniem rad narodowych, ich „założoną funkcją” było „wykonywanie zadań państwowych” zgodnie z ustalonym przez prawo zakresem kompetencji. Samorząd to wprawdzie „stała i powszechna reprezentacja mieszkańców terenów wiejskich i miejskich”, ale z mocy prawa jego organami wykonawczymi mogły być tylko rady narodowe. Opierały się na wykładni leninowskiej koncepcji ludowładztwa.

Dla centralnie sterowanej władzy państwowej system ten stanowił swoistą „dialektyczną jedność” przeciwności. Paradoks tej sytuacji — jak często w swoich wystąpieniach podkreślał senator Adam Stankowski — jest podobny do występowań tej samej osoby w roli oskarżyciela i obrońcy w tej samej sprawie.

Rady narodowe w PRL stanowiły system transmisji centralnej władzy państwowej w dół. Same nie miały osobowości prawnej, pozbawione zostały prawa do posiadania własnego majątku, skazane zostały niemal wyłącznie na gospodarowanie przyznanymi jej z centralnego budżetu środkami finansowymi. Prawnie i faktycznie zostały całkowicie podporządkowane układowi pionowemu, likwidującemu samorządność, tj. prawo stanowienia o samym sobie. Radni zaś „reprezentanci ludu” w tym systemie stali się bezradni. W praktyce istniejący system był zaprzeczeniem efektywności działania, przekształcił się w system ociężałej, sformalizowanej, samoobsługującej się i niezrządsko skorumpowanej biurokracji.

Pozostało po nim dziedzictwo, które choć przełamać przygotowywana ustawa o samorządzie terytorialnym. Ma ona stworzyć nowe warunki prawne. Czy na miarę społecznych potrzeb — to problem otwarty. Już dziś nie ulega wątpliwości, że napotka na wielorakie bariery, przede wszystkim w sferze świadomości społecznej i ograniczeń związanych z inercją ukształtowanych przez 40 lat „socjalistycznych struktur”. Ale jest to już odrębny temat.

Piotr Kryczka

## LISTY

### „My i Wy“

W „Relacjach” z dnia 25 I 1990 r. nr 4 (54) został zamieszczony list pani Tamary Wąskowej pod tytułem „My i Wy”.

Jestem starszym człowiekiem, emerytem z trzydziestoparoletnim stażem pracy, i mam obecnie czas przejść lub przejechać tu i tam, by poznać nastroje naszego społeczeństwa; nie są one najlepsze, szczególnie znane są nam wszystkim.

Niezależnie od przyczyn, wypowiedź pani Tamary brzmi w tonie lat 40. i 50. Wszystkiemu, wszystkiemu winien rolnik (kulak). Zadaje pytanie — która to inteligencja

jest tak skłonna do wyrzeczeń, czy ta z rozrośniętych urzędów państwowych, która rolnika upokarza, odsyłając od okienka do okienka, opóźniając załatwianie nawet mało uciążliwych spraw?

Jest jeszcze druga, nie mniej dokuczliwa, która wyrosła w zakładach pracy, a fabrykach i spółdzielniach, która zeruje na pocie robotników, nazywając ich pogardliwie robotami lub pracującymi (przepraszam, nie wszyscy), lecz znaczą jej część bierze urlopy bezpłatne okolicznościowe o nieokreślonym terminie, by wyjechać na Zachód, zarobić de wizy bardzo często upokarzającą pracą, której w kraju tak się wstydzą. (Jest to tylko pseudointeligencja).

Pracując w fabryce, mogłem zauważyć, kto z takich urlopów korzy-

sta. Robotnik nigdy nie dostanie dłuższego urlopu, niż ten, który mu się należy z tytułu przepracowanych lat. Rolnik, na którego pani Tamara stara się zrzucić wszystkie nieszczęścia, też nie ma czasu na wojaże zagranicę, choćby nawet z tej przyczyny, że wyhodowaną trzodę musi często kilkakrotnie odwozić do domu.

Trzeba nauczyć się odróżniać ludzi, którzy rozpowszechniają te słowa, jakich pani Tamara użyła. (Więć się jakoś wyżywi). Zapomina ona o czerwcu 1989 r. i rzucaniu kości niezgody między wieś i miasto, co należy już do przeżytku. Określenie, jak zareagowałby chłop, gdyby miasto nie chciało leczyć i uczyć chłopów, jest nie na miejscu. Rolnicy płacą dość wysokie podatki i nikt im nie robi łaski, że ich leczy i uczy.

Broń nas Boże przed takimi nauczycielami, którzy starali się narzucić przez 45 lat styl nauki ludziom uczciwym. Obecna sytuacja kraju jest właśnie wynikiem tej edukacji. Jest u nas inteligencja naprawdę ofiarnie pracująca pomimo niskich, wręcz śmiesznych zarobków w stosunku do ich kwalifikacji. Należy do nich służba zdrowia, oświata, pracownicy niektórych środków masowego przekazu. Ludzie ci, często niszcząc własne zdrowie, pracują rzetelnie i jakże ciężko i nie starają się zrzucić niezastudzonej krzywdy na barki innych. Trzeba, Sz. Pani Tamara, wyciągnąć z życia bardziej trafne wnioski.

Szczepan Dudziak  
Lublin

## Jak powstawały „bandy leśne”

# „ŁUPASZKO”

Henryk Pająk

W PIERWSZYCH latach po wojnie prawdziwym postrachem północno-wschodniej Polski stały się oddziały „Łupaszki”. Bez względu na walce z nowym porządkiem i jego przedstawicielami, nieuchwytnie, znakomicie władające sztuką wojny partyzanckiej.

Do walki z „Łupaszka” rzucono coraz liczniejsze siły. Nie przyniosła rezultatów pierwsza wielka oblawa w Borach Tucholskich, przeprowadzona w dniach 10–12 maja 1946 roku. Dwa miesiące później więc osmieszyla się, nie nawiązawszy nawet bojowego kontaktu z tym zagończykiem, połączone siły trzech batalionów wojska (KBW, 41 pp oraz 54 pp), kompania MO wraz ze spec-oddziałem WUBP. Miejsce oblawy: lasy olsztyńskie. Przez tydzień, 7–15 lipca 1946. „Łupaszko” wodził za nos całe to towarzystwo i dopiero miesiąc później, już na terenie województwa gdańskiego, udało się rozbić podstawowe oddziały jego ugrupowania: „Zeusa”, „Zelaznego”, „Małego” oraz „Lufy”. Ten ostatni został ujęty dopiero latem 1947 roku. Porażki były głównie następstwem denukcji, a nie walk bezpośrednich.

JAK ZRODZIŁ SIĘ „Łupaszko”? Prawdziwe nazwisko: Zygmunt Szendzielarz, rotmistrz przedwojennego 4 pułku ułanów. W czasie wojny — partyzant AK Okręgu Wileńskiego, pseudonim „Łupaszko”. Wydana na Zachodzie książka Edmunda Banasikowskiego: „Na zew Ziemi Wileńskiej” opisująca dramat polskiej konspiracji na Wileńszczyźnie, mówi też o „Łupaszce”. Mówi o tym, jak rozdziła się jego nienawiść i determinacja w stosunku do nowej władzy. Siegnijmy do szczegółów.

Wiosną 1943 r. w rejonie jeziora Narocz istniał oddział „Kmicica” — Antoniego Burzyńskiego. W pobliżu stacjonował silny oddział radziecki pod dowództwem Markowa — szkolnego kolegi „Kmicica”. Początkowo stosunki układały się poprawnie, były nawet wspólne walki z Niemcami.

Kiedy jednak szpiegdy Markowa przynieśli mu podziemne pismo „Niepodległość” z opisem zbrodni katyńskiej, Markow postanowił rozprawić się z „Kmicicem”. Jesienią 1943 roku urządził uroczystość poświęcenia sztanbaru swej brygady i zaprosił całe dowództwo polskiego oddziału. W czasie przyjęcia polscy dowódcy zostali rozbrojeni i po krótkim „sądzie” rozstrzelani. Na czas uroczystości, współpracujący z Markowem sierżant Markiewicz zarządził w polskim oddziale czyszczenie broni. Gdy oddział otoczono, partyzanci nie mieli czym się bronić. Szeregowych partyzantów wcielono do nowo utworzonego oddziału im. W. Wasiliewskiej. Rzecz jasna, jego dowódcą został wspomniany sierżant Markiewicz.

I tu wkracza na widownię „Łupaszko”. Komendant Okręgu poleca mu utworzyć z rozbitków i ocalałych uciekinierów z oddziału Markiewicza nowy oddział. Tak powstaje załóżek słynnej 5 Brygady Wileńskiej AK. Rozpoczyna się nekająca walka z mordercami 70 partyzantów „Kmicica”. Widząc, że to nie przelewką, Markow proponuje rozejm. „Łupaszko” przytaje na to.

31 stycznia 1944 roku oddział „Łupaszki” stacza całonocny bój z Niemcami we wsi Worniany. Poległo 65 Niemców i 19 partyzantów. Partyzanci forsownym marszem odskakują w rejon Rudzisz i Łozowego. Zapada zmierzch. I wówczas na wyczerpaną brygadę runęło kilka tysięcy partyzantów Markowa, wtedy już pułkownika. Wybuchła straszliwa bitwa, w rezultacie której partyzanci odparli wszystkie ataki, ale unosząc nowych zabitych i rannych, unosili ze sobą coś jeszcze: nienawiść do wszystkiego, co sowieckie.

CZY popisy brygady płk. Markowa były czymś odosobnionym na tamtych terenach? Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie, przemiesimy się w okolicę Puszczy Nalibockiej.

Oddziały czerwonej partyzantki liczyły na tym terenie kilkanaście tysięcy świetnie uzbrojonych ludzi. Przyjęły one taktykę unikania walk z Niemcami. Zostały zmuszone do walki dopiero podczas olbrzymiej dwumiesięcznej oblawy, do której Niemcy użyli aż pięciu dywizji SS! W kotle znalazły się też oddziały polskie. Poniosły one duże straty. Po walkach ich dowódcą został kpt. Pełka — „Wacław”.

W listopadzie dowódca zgrupowań radzieckich, gen. Dubow, przysłał zaproszenie do majora „Wacława” i jego ludzi na naradę, której celem miało być uzgodnienie zadań do ważnej akcji przeciwko Niemcom. Powtórzył się dokładnie scenariusz z naiwnym „Kmicicem”: nikt z nich nie powrócił z tego spotkania.

Z zaproszenia nie skorzystał jedynie por. „Góra” oraz kilku oficerów z grupy „Dęba” z inspektoratu

oszmiańskiego. „Dąb” i „Góra” ruszyli z odsieczą, ale wpadli w zasadzkę. Aż 10 dni trwał pościg partyzantów radzieckich za kluczowymi oddziałami polskimi.

W trakcie walk w ręce Polaków wpadł ściśle tajny dokument, znaleziony przy poległym komisarzu radzieckim. Widniał pod nim podpis generała Ponomarienki (późniejszego ambasadora ZSRR w Warszawie). Dokument ten, przekazany wkrótce „iskrówką” do Londynu, wywołał szok w naczelnym dowództwie. Ta depecha-szyfr posiada numer 505. W Londynie przyjęło ją początkowo z niedowierzaniem, dopiero podobne rozkazy, znalezione na południowo-wschodnich terenach Polski, rozwiły złudzenia.

Rozkaz ten nakazuje, ni mniej ni więcej, tylko bezwzględne rozbrajanie wszystkich partyzantów polskich! Mając pełną świadomość wagi tego dokumentu, pozwolę sobie przytoczyć go w pełnym brzmieniu, choć już kiedyś uczyniłem to w „Relacjach”:

„Ściśle tajne!

Egzemplarz nr 7

Wcześniejse ujawnienie karalne!

ROZKAZ BOJOWY

Do Komendantów i Komisarzy  
Oddziałów partyzanckich Brygady im. Stalina  
30 listopada 1943 r. — 15.00 godz.

W wykonaniu rozkazu Naczelnika Głównego Sztabu ruchu partyzanckiego przy kwatery Naczelnego Dowództwa Czerwonej Armii gen. lejtn. PONOMARIENKO i upoważnionego Głównego Sztabu ruchu partyzanckiego na kwatery Naczelnego Dowództwa WK.B(B) B. sz. O. Baranowickiego Okręgu gen. mjr. Piatonowa.

W dniu 1 grudnia 1943 r. ogłosić punktualnie o godzinie 7-mej rano, by we wszystkich zajętych punktach rejonów przystąpić do osobistego rozbrajania wszystkich polskich legionistów (partyzantów). Odebrać broń i dokumenty zarejestrować, a zespół legionistów razem z odebraną bronią dostarczyć do polskiego obozu Miłaszewskiego w rejonie wsi Nesterowice, iwienieckiego rejonu.

W razie oporu w czasie rozbrajania ze strony legionistów (partyzantów) rozstrzeliwać na miejscu [podkr. — H.P.].

Z chwilą otrzymania niniejszego rozkazu natychmiast należy go rozesać ściśle poufnymi listami do wykonania w rejon operacyjny waszych grup, kompanii i plutonów ze zleceniem wykonania niniejszego rozkazu.

Rozkaz należy trzymać w ściśle tajmnicy.

Za ujawnienie tego rozkazu z jakichkolwiek powodów, będą osobiście odpowiadać dowódcy oddziałów. Komendant Brygady im. Stalina (—) płk Gulewicz Komisarz Brygady im. Stalina (—) ppłk Muranow Naczelnik Sztabu Bryg. im. Stalina (—) ppłk Karpow  
Egzemplarz nr 1 — do akt  
Egzemplarz nr 2 i 3 — Oddział im. Bolszewika  
Egzemplarz nr 4 i 5 — Oddział im. Suworowa  
Egzemplarz nr 6 — Oddział im. Czapaiewa  
Egzemplarz nr 8 — Oddział im. Budionnego  
Egzemplarz nr 9 — Oddział im. Ryzaka  
Egzemplarz nr 10 — Oddział im. «O» (Październikowej Rewolucji)

M.P.” (Okrągła pieczęć Brygady im. Stalina)

W rezultacie rozpoczęło się bezwzględne zwalczanie polskiej partyzantki. Wzmogły się też prześladowania ludności polskiej, szczególnie ziemianstwa oraz osób związanych w jakikolwiek sposób z państwem polskim.

NIEMICY doskonale orientowali się w sytuacji i gdy „Łupaszko” dość przypadkowo wpadł w ich ręce na melinie w Wilnie, natychmiast próbowali przeciągnąć go na swoją stronę. Na początek pogratulowano mu sukcesu pod Wornianami, gdzie jego oddział położył trupem kilkudziesięciu Niemców(!), następnie zaproponowano mu dostarczenie broni i amunicji. „Łupaszko” propozycję takiej pomocy odrzucił.

Tymczasem do gestapo dotarł list podpisany przez zastępcę dowódcy 5 Brygady. Groził on, że jeśli „Łupaszko” nie zostanie zwolniony, Brygada wzmoczone represje wobec Niemców i zniszczy linię kolejową Wilno — Dyneburg. Cena była dla Niemców zbyt wysoka, „Łupaszko” wyszedł na wolność. Ten incydent postużył po wojnie jako pretekst do oskarżenia go o współpracę z Niemcami.

Wkrótce rozpoczął się ostatni akt wileńskiego dramatu: akcja „Ostra Brama”, plan zdobycia Wilna w

związku ze zbliżaniem się Armii Czerwonej. Wobec szybkich postępów radzieckiej ofensywy akcję „Ostra Brama” postanowiono przyspieszyć o dobę. W tym momencie niektóre oddziały, mające wziąć udział w walkach o miasto, były oddalone nawet o 60 kilometrów. Drogi były zapchane frontowymi oddziałami niemieckimi, a bezdroża utrudniały marsz na Wilno. W takiej sytuacji znalazła się 5 Brygada „Łupaszki”. Utknęła w rejonie Suderwy, kilkanaście kilometrów na północny zachód od Wilna. Podobnie przydarzyło się 4 Brygadzie pod dowództwem „Ronina” — Longina Wojciechowskiego. Ta utknęła w Gielajkach: żołnierz był już skrajnie wyczerpany całonocnym marszem.

W tej sytuacji „Łupaszko” wysłał do „Ronina” gońca z propozycją połączenia się i wspólnego marszu na zachód. Pisał: „Jeżeli nie postąpisz tak jak ja — to szkoda Ciebie, »Ronin«. Ale ja, niestety, nie mogę wykonać tego rozkazu. Rób, co chcesz...”

Na wiadomość o załamaniu się polskiego natarcia na Wilno „Łupaszko” rozpoczął marsz na zachód. Tak dotarł do Oliwy. Tu sytuacja Brygady stała się krytyczna: Niemna bronii specjalne oddziały zaporowe grupy generała Weidlinga. W tej sytuacji „Łupaszko” wysłał oficera do sztabu najbliższej frontowej jednostki sowieckiej z prośbą o przekazanie mu zadań bojowych. Spotkał się z odmową: wiedzano już, kim jest „Łupaszko” i jego Brygada. Oddziały sowieckie właśnie usilnie starały się ustalić miejsce postoju Brygady.

W końcu udało się „Łupaszce” osiągnąć okolice Grodna. Tu po kilku dniach otrzymał dziwną propozycję: radziecki oficer w stopniu majora zaproponował wspólne uderzenie na Niemców. W tym celu Brygada powinna udać się na wyznaczone miejsce wspólnej akcji.

„Łupaszko” wysłał na to miejsce szwadron, a sam z resztą Brygady ostrożnie posuwał się w wyznaczonym kierunku. Szwadron wpadł w przygotowaną zasadzkę ogniową ciężkich karabinów maszynowych. Niestety — sowieckich. Ocaleli nieliczni!

Brygada cofnęła się na poprzednie miejsce. Tkwiła pomiędzy dwiema wrogimi armiami. To był koniec. Dowódca zarządził rozwiązanie Brygady. Kto chce, może iść za nim. Kierunek — lasy białostockie. Tam planuje łączyć się w większe oddziały i walczyć dalej.

To działo się 23 lipca 1944 roku. Tak rozdził się nowy „Łupaszko”. Ten powojenny, choć wojna miała trwać jeszcze wiele miesięcy. „Łupaszko”, który przez następne trzy lata stanie się legendą i postrachem, bohaterem i bandytą. Postacią jak z antycznego dramatu: nieuchronnie skazaną na klęskę, na zagładę, świadomą tego do końca i do końca wykonującą swoją tragiczną powinność.

Taką samą postacią na Lubelszczyźnie stał się „Zapora”, po nim „Uskok”. Jedni z wielu. Jakże wielu, których jedynym wyjściem był — brak wyjścia.

JAKI był koniec samego „Łupaszki”? Zmasowane akcje przeciwko jego oddziałom zmusiły go do schronienia się w Poroninie. Symulował tam chorobę Parkinsona, czasem pokazywał się w żebraczych łachach. Przez cały czas był najzacieklej poszukiwaną postacią polskiego podziemia.

Zgubił go próby utrzymywania kontaktów ze swoimi oficerami i resztkami oddziałów. Wpadł przypadkowo. Podczas aresztowania narzeczonej „Wiktor”, jednego z jego oficerów, agenci natknęli się na kartę pocztową adresowaną z Poronina. Idąc tym tropem — dopadli go w styczniu 1948 roku.

Jakim respektem cieszył się u swych prześladowców, niech świadczy to, że dla sprawnego ujęcia już zlokalizowanego „Łupaszki” zainscenizowano oblawę na rzekomego górala-bandytę. „Łupaszko” sądząc, że jest poza podejrzewaniem, wyszedł na ulicę w przebraniu żebraka. Gdy miał się zająć „pojmanym”, natwet stosownie zakwawionym „bandytą”, kilku agentów UB rzuciło się na „Łupaszkę” i obezwładniło go.

Latem 1948 roku organa bezpieczeństwa rozbiły „Ośrodek Mobilizacyjny Wileńskiego Okręgu AK”. Ujęci zostali wszyscy oficerowie ścisłego dowództwa, z ppłk. A. Olechnowiczem-„Pohoreckim” na czele. Przewieziono ich do Warszawy, gdzie od stycznia więziono „Łupaszkę”. Pokazowy proces „Ośrodka Wileńskiego” rozpoczął się 23 października 1950 roku. Głównymi oskarżonymi byli: Antoni Olechnowicz, Zygmunt Szendzielarz-„Łupaszko”, Henryk Borowski, Lucjan i Wanda Minkiewiczowie oraz Lidia Lwów. W prasie zaroilo się od informacji prześcigających się w zohydzaniu oskarżonych. Najłagodniejsze brzmiały: „Za pieniądze z Londynu mordowali polskich patriotów i radzieckich partyzantów”.

Dopiero 40 lat później wolno nam, Polakom, dopisać komentarz do tych obelg. Przedstawić okoliczności, które zrodziły „Łupaszkę” i tysiące jemu podobnych.

Olechnowicz, Szendzielarz, Borowski i Minkiewicz zostali skazani na śmierć. Majora Szendzielarza stracono 8 stycznia 1951 roku. Edmund Banasikowski we wspomnianej książce („Na zew Ziemi Wileńskiej”) przytacza relację współwzięcia, gdy „Łupaszkę” wywołano z celi na egzekucję. Powiedział do kolegów pogodnie: „Cześć, panowie!”...

**A**RCHEOLOGIA jest chyba jedną z najkapryśniejszych dziedzin wiedzy. Pełna niespodzianek, emocji, zaskakujących odkryć, hipotez, drażliwości, potrafi z niezwykłą łatwością burzyć mozolnie budowane latami twierdzenia. Wystarczy często jeden sezon wykopalisk, jedno włożenie łopaty w ziemię, jedna przysłowiowa skorupa, aby tomy — wydawałoby się fundamentalnych opracowań naukowych — wędrowały na najniższą półkę. Popadają w zapomnienie najwerniejsi jej badacze. Zamazują się, pozornie precyzyjnie malowane, obrazy przeszłości. Tylko w przykurzonych gablotach muzealnych, a częściej w przepastnych magazynach, czekają na swój renesans niemi świadkowie i sprawcy tych swoistych huśtawek — archeologiczne zabytki.

Archeologia, niczym kapryśna dama, dyktuje mody na niektóre kierunki badań. Tak było z szaleństwem szukania najdawniejszych śladów Słowian, amokiem celtołomów, teraz pojawiła się fascynacja jedną z najdramatyczniejszych i najslawniejszych wędrowek — wędrowką Gotów.

Zdarza się, że jak frywolna dziewczyna spod spódnicy, archeologia pokazuje rąbek sensacji i wtedy szaleństwo wokół niej ogarnia archeologów, dziennikarzy, hobbistów — słowem wszystkich, którym myślenie nie sprawia bólu.

Niekiedy kapryśna pani łaskawie przyspiesza swą wspaniałomyślność. Otrzymałem taką nagrodę. Było to dziesięć lat temu na błyszczącym świeżo zaoraną czernią polu, które miało niepozorną zamajską wieś wprowadzić do pamięci archeologicznej Europy. Nazywa się ta miejscowość — Masłomęcz.

**B**OJĘ się, że powroty wspomnień z tamtych dni są coraz bardziej pokretnie i obrastają w cienką powłoczkę legendy. Nawet kiedy przyglądam się fotografiom, to widzę jakby głębiej i szerzej. Niezapomniany pozostał tylko niewiarygodny upał, schnąca na beton glina. Utrwaliły się na zdjęciach zmęczone twarze moich studentów, a w notatkach połowych mój ogromny strach przed niewiedzą. Dbałość o szczegóły w zdumiewający sposób zatarta wrażenia ogólne. Dopiero pakując aparat do futerału, „dostrzegłem”, że fotografowany szkielet pobawiony był czaszki. Przecoczenie takiego „drobiazgu” przez kopających nie mogło mieć miejsca tym bardziej, że pozostałe kości były znakomicie zachowane i wzorowo wyprzebarwione.

Od tego dnia odkrycia dziwnych pochówków zaczęły się mnożyć. Najczęściej natrafiano na potówki szkieletów od pasa w dół. Zdarzały się jednak również takie, które pozbawione były jednej z kończyn, przemyślnie rozcięte wzdłuż kręgosłupa, a niekiedy właśnie tylko bez głowy. Zdumienie nasze wzrosło, kiedy okazało się, że we wszystkich grobach są wyłącznie kobiety i dzieci.

Z niecierpliwością czekałem na werdykt jednego z najbardziej precyzyjnych antropologów historycznych naszego kraju — dr Wandy Kozak-Zychman. Długie zestawienia pomiarów nie budziły wątpliwości — kobiety, kobiety i jeszcze raz kobiety. Istniało jednak małe „ale” — kości niektórych osobników były zdumiewająco duże i trochę za masywne jak na pleć piękną. Równoległe badania prowadzone przez zespół antropologów z Muzeum Człowieka w Paryżu potwierdziły jednak wnioski przedłożone przez panią Wandę. Zaczęło pachnieć sensacją i to dużej wagi.

Zaskakującym wynikiem badań antropologicznych towarzyszyły inne niespodzianki. Groby były dosłownie wypełnione importami z najróżniejszych zakątków Rzymskiego Imperium i sąsiednich obszarów Barbaricum. Obrzędy, które towarzyszyły pochówkowi — palenie odciętych części zmarłych, dokładanie w ich miejsce fragmentów zwierząt, pochówki zwierząt dzikich (zółwie) i domowych (psy, świnie, owce), niezwykle konstrukcje grobowe — wykrywały daleko poza wiedzę o starożytnych zwyczajach, zebraną w najwęższych z książek.

Rok po roku, sezon po sezonie wykopaliska dokładały nowych informacji o tajemniczej „kobiecej kulturze”. Właśnie to ostatnie sformułowanie porusza jedną z najdelikatniejszych i najbardziej dźwicznych strun archeologicznych hipotez. Czy rzeczywiście

mamy do czynienia z „kulturą kobiet”? A może?...

**P**O zgonie Iandysesa (króla Gotów — przyp. A.K.), kiedy wojsko pod wodzą jego następców pociągnęło na wyprawę do innych krajów, pewien sąsiedni szczerp próbował uprowadzić do niewoli kobiety — pisze Jordanes, autor ogłoszonego w 551 roku dzieła „Getica”, streszczającego historię Gotów. — Próba spełza na niczym. Nauczony bowiem postępowania przez swych mężów, niewiasty stawiały bohaterki opór, przepędzając srogich napastników. Osiągnawszy tak poważne zwycięstwo, nabrały jeszcze większej otuchy. Zachęcając się nawzajem, chwytają za broń i powołują na stanowisko naczelniczek dwie urodziwe i śmiałe niewiasty — Lampeto i Marpeze. Troszcząc się zarazem o obronę swoich ziem i dążąc do grabieży ziem cudzych, [...] pokonują w wojnie różne szczerpy, a inne pozyskują na mocy układów pokojowych...”

Gdzieś na rubieży potęgi Imperium Rzymskiego powstało na polu prawdziwe, na polu mityczne państwo, rządzone przez szczególnie agresywne ko-

tów — bo przecież z tego ludu miały się wywodzić.

W początkach lat pięćdziesiątych przeprowadzono badania kilku cmentarzy z okresu rzymskiego na Mazowszu. Dużym zaskoczeniem było odkrycie, że występują na nich pochówki... wyłącznie kobiet. W początku lat sześćdziesiątych Andrzej Kempisty, warszawski archeolog, postawił ostrożną hipotezę, a raczej przypuszczenie, że fakt ten może kojarzyć się z mitycznymi Amazonkami. Pomysł pochwylił znakomity poznański naukowiec, profesor Tadeusz Malinowski, i z ogromną erudycją wyłożył Polsce i światu, na łamach pisma „Światowid”, tezę o lokalizacji państwa Amazonek ni mniej ni więcej tylko na Mazowszu.

Burza, która potem ogarnęła archeologiczny świat, wyszła daleko poza skalę Boforta. Nieszczęsnego autora obsypano mnóstwem zarzutów, niedwuznacznie sugerując przerosł wyobraźni i tendencyjną ocenę faktów historycznych. Seria polemicznych publikacji, często o wyraźnie napastliwym zabarwieniu, odsunęła w końcu „koncepcję amazońską” jako bardzo wstydlivą pla-

## AMAZONKI POD HRUBIESZOWEM

Andrzej Kokowski



Fot. Patryk Stępień

biety nazwane Amazonkami. Motywen, jak bilardowa kula, obija się po świadomości antycznych społeczności. Opowiadano sobie niewiarygodne wprost historie o tym dziwnym kobiecym państwie.

„W obawie, by nie przeredzić swych szeregów z braku potomstwa, oddawały się mężczyznom z sąsiednich plemion. Spotkania urzały raz do roku. Kiedy zaś miało dwanaście miesięcy, obie strony wracały w tym samym dniu po to samo, ojciec zabierał noworodka płci męskiej, każda dziewczynkę natomiast matka miała obowiązek wychować na wojowniczkę” — pisze Jordanes. Dodaje jednak dalej próbki trwogi, jaką budziły Amazonki, a może nawet wersję, którą straszono dzieci w domach wielu prowincji rzymskich: „Inni autorowie utrzymują, że urodziwszy chłopca, z nienawiścią macoszą przecinały nić jego żywota. Tak więc przyjdzie na świat syna, które wszędzie jest upragnione, u nich uchodziło za przekleństwo”.

Jak więc nie było się bać takiego wynaturzenia kobiecego wdzięku i delikatności, tym bardziej je dalej czytamy: „Postępując tak okrutnie, siły jeszcze większą trwogę. Jakąż bowiem nadzieję mógł mieć jeniec tam, gdzie nie godziło się przepuszczać rodzonym synom?”

**M**INEŁY wieki, a naukowy świat podzielił się na dwa obozy. Pierwszy z uporem zarzucał Jordanesowi igrasstwo, i podanie o Amazonkach kładł między bajki. Drugi poważnie zastanawiał się, gdzie umiejscowić to legendarne „państwo”. W spekulacjach historyków, językoznawców i znawców mitologii wzięła również udział archeologia. Postawiono słuszną tezę, że o ile szukać Amazonii, to tylko na obszarach zajętych przez Go-

mę na honorze archeologii środkowoeuropejskiej.

Na Amazonki spadła ponownie zasłona milczenia. Jak co roku ekspedycje wyjeżdżały w teren i, jak co roku, wracały z bagażami pełnymi zabytków. Emocje skierowane zostały na inne problemy. Po tom z opracowaniem T. Malinowskiego sięgano rzadko i jeszcze mnie w czasie studiów podsuwano... ku przestrodze. I może właśnie w tym był symptom przeznaczenia, światelko fatum, które zawisło nad moją głową, że właśnie ja będę skazany na podjęcie rzuconej rękawicy?

**L**OŚC pochówków kobiet z cmentarzysk w Kotlinie Hrubieszowskiej rosła w miarę postępu badań. Odkrywano je również na drugim z wielkich cmentarzysk — w Gródku nad Bugiem.

Coraz częściej zadawałem sobie pytanie — a właściwie czemu nie? Wszystko jest takie logiczne i tak pasujące do siebie. Groby tylko kobiet i dzieci. Zwyczaje pogrzebowe świadczące — w rozumieniu współczesnych cywilizacji — o okrucieństwie. Całe kolekcje zabytków obcego pochodzenia, mogące być trofeami z wypraw wojennych.

Trochę niepokojem wzbudziły nieliczne groby mężczyzn. Ale właściwie — co to za mężczyźni! Starcy powykrecani reumatyzmem, schorowani na wszystkie prehistoryczne dolegliwości. Nawet miecz wyłowiony z Bugu był bardzo „amazoński” i pasował do wyobrażenia o wojowniczkach. W niektórych grobach, przy pasach zmarłych wisiały zgrabne noże, mogące z całym powodzeniem spełniać rolę ostatniego obrońcy przed zbyt napastliwym zalotnikiem lub pomagać w pozbywaniu się niepotrzebnych już kochanków.

W końcu sama lokalizacja ewentualnego państwa — idealna. Zaciśnięta Kot-

lina Hrubieszowska, schowana za pasmami wyniesień i wyżyn, świetnie nadawała się na kryjówkę i leże po wojennych trudach. Sąsiedztwo Bugu dawało znakomite możliwości prowadzenia wypadów, no i Kotliną leży na najważniejszym szlaku handlowym tego okresu.

Nigdy jednak nie odważyłem się postawić w naukowych opracowaniach tezy o odkryciu czy też nowej lokalizacji jordanesowej Amazonii. Pozwalałem pohulać fantazji przy okazji lżejszych tekstów popularnonaukowych i w czasie dyskusji na mniej formalnym forum. Dlaczego? Za mało, ciągle za mało, miałem argumentów. Zbyt szczupła była baza archeologicznych źródeł. Zbyt enigmatyczne treści przekazane w starożytnych zapisach i... zbyt poważną stała się archeologia, by pozwalała zapomnieć o wieloznacznej często wymowie zabytków.

Pierwsze ostrzeżenie dla tak klarownej, zdawałoby się, koncepcji znalazłem w wynikach badań antropologów. Nader wiele wykazywały wątpliwości, a wielogodzinne dyskusje z dr Kozak-Zychman nauczyły mnie ostrożności. Po prostu w wielu sprawach antropologia jest bezsilna. Do tej pory nie potrafi się, na przykład, uporać z określeniem płci szkieletów dzieci.

Drugie ostrzeżenie podsunęło mi doświadczenie pokoleń archeologów. Nikt nie może przecież zaprzeczyć, mając w pamięci setki przeprowadzonych prac wykopaliskowych, że mężczyźni mogli podlegać zupełnie innemu rytuałowi pogrzebowemu, nieuchwytnemu w badaniach dokonywanych za pomocą łopaty, szpadli i pędzla. Takiego psikusę sorawili już Celtowie, kiedy to u schyłku swej historycznej egzystencji zaczęli stosować obyczaj palenia zmarłych i wrzucania prochów do rzek. Może tak samo było z mężczyznami żyjącymi kiedyś w okolicach Hrubieszowa? Może ich doczesne szczątki były po prostu wynoszone do lasu i składowane na specjalnych rusztowaniach aż do zupełnego unicestwienia?

Na dużych cmentarzach w Kotlinie Hrubieszowskiej, w oraninie i tuż pod nią, czytelna jest warstwa powstała z milionów drobin przepalonych kostek ludzkich. Wygląda to tak, jakby z lenistwa zaniechano kopania głębokich jam grobowych, a spalone szczątki zmarłych wysypywano jedynie na powierzchni cmentarza. Może właśnie te szczątki należa do poszukiwanych przez nas mężczyzn? Tego, niestety, nie jest w stanie dzisiaj nikt stwierdzić.

A kto pobudował wielkie, przestronne chaty na osiedlach w Hrubieszowie-Podgórzu, Masłomęczu czy Gródku? Zachowane szczątki bali podtrzymujących konstrukcję dachu, przykrywająca 200 m kw. powierzchnię, jeszcze dzisiaj budzą szacunek dla siły i sprawności tamtejszych budowniczych.

Proszę wybaczyć moje wątpliwości, ale nie wierzę, że były to dzieła kobiecych rąk — nawet tych najlepiej władających bronią. No dobrze, powie ktoś, ale skoro dla rytualnej prokacji przywabiano sobie mężczyzn, to czyż przy pomocy kobiecego wdzięku nie można było przyciągnąć równie sprawnych rzemieślników? Owszem. Można było. Ale na to nie ma dowodów.

Tak samo jak nie ma dowodów na to, że znajdowane precyzyjne ozdoby z brązu i srebra wyszły z kobiecych rąk. Że to właśnie one potrafiły zawładnąć tajemnicą — jedna z najbardziej strzeżonych w starożytności — produkcji szkła. Kto miał twarde poroże na grzebieniu, znosił surowiec do produkcji naczyń, kto wykonywał całą masę zajęć wymagających zwykłej siły mięśni: kobiety? Jakoś nie bardzo pasuje to do przekazu Jordanesa.

**M**ŁOT i kowadło. Młot w postaci wizji amazońskiego państwa i kowadło wymowy odkopanych przedmiotów. Miedzy nimi tkwi archeolog i od jego zręczności, umiejętności kojarzenia faktów i wiedzy będzie zależało, czy młot, uderzając w kowadło, rozbije je, czy też pęknie drewniane stwisko.

Do pustynnego mirażu można porównać Amazonki. Wydaje się, że już — już dotykamy realiów najprawdziwszych, by za chwilę rozchwiać swój obraz w stronę legendy. Nawet gdyby w przyszłości miało się okazać, że te niesamowite kobiety są wielką nieprawdą, to historia batalii o ich udo wodnienie i tak przetrwa na pewno. Żal, gdyby to był tylko miraż... Badania w Masłomęczu trwają.

**B**IEDA z nędzą zapukały także do drzwi kultury. Pieniądże, ja-  
kimi województwo lubelskie mo-  
że dysponować w bieżącym roku, są  
tak śmiesznie małe, że członkowie ko-  
misji kultury WRN w żaden sposób  
nie potrafili ich podzielić. A rękę po-  
datki wystawiają m.in. instytucje ar-  
tystyczne, twórcy (oni proszą zaledwie  
o marne stypendia i zapomogi), re-  
gionalne stowarzyszenia kulturalne...

W stosunku do funduszu roku ubie-  
głego, tegoroczny wzrósł o 46 proc.,  
jak poinformował komisję Edward  
Balawejder, dyrektor Wydziału Kul-  
tury WRN, ale wzrost ten jest iluzo-  
ryczny, ponieważ absolutnie nie na-  
dąża za inflacją. Jest więc do podzia-  
łu blisko 19 mld, z czego na same  
płace pracowników instytucji kulta-  
ralnych przeznaczyc trzeba ponad mi-  
liard zł, 4 mld skieruje się (tak prze-  
widywał wstępny projekt podziału) do  
teatrów, co wystarczy jedynie na  
częściowe pokrycie kosztów funkcjo-  
nowania przez 4-5 miesięcy).

W projekcie wydatków zapropono-  
wano także: 10 mln zł na zakupy dzieł  
sztuki, ponad 10 mld na wszystkie o-  
środkij kultury w województwie, 250  
mln na towarzystwa i inicjatywy re-  
gionalne godne wsparcia, 100 mln na  
upowszechnianie kultury, także za  
granicą (dotacje te dotyczą jedynie  
tych wyjazdów lubelskich zespołów,  
które zaplanowano i umowami za-  
twierdzono w ubiegłym roku).

Dyr. Balawejder mówił także o po-  
trzebie utrzymania stypendiów dla  
młodych twórców oraz zasiłków dla  
seniorów lub ich rodzin, o koniecz-  
nych remontach obiektów, m.in. w O-  
polu, Trawninkach, Lubartowie, Lubli-  
nie. Konkluzja była przygnębiająca:  
kultura grozi regres bądź całkowity  
rozpad; skończyła się era wszechogarn-  
niającego mecenatu państwa, a pry-  
watnych sponsorów z duszami filan-  
tropów jakoś nie widać; resort kul-  
tury nie uchyla się wprawdzie od po-  
mocy, ale tylko w przypadkach naj-  
ważniejszych artystycznych przedsię-  
wzięć; zachowania choćby minimum  
kulturalnego nie gwarantuje.

Z kulturą jest tak, że nawet naj-  
większe wpływy nie pokrywają jej wy-  
datków. Dlatego teatr w Radomiu —  
jak podał radio — pierze na boku  
bielizną ludności. Oprócz — rzecz jas-  
na — działalności artystycznej. I jest  
to, być może, jakieś wyjście, którego  
wymyślać — moim zdaniem — nie  
należy. Ale też rozumiem twórców,  
których pragnia w teatrze mogłaby  
rozniewać. Między regulami gry ekono-  
micznej, której celem jest przetrwa-  
nie, a poczuciem, że kultura to nie  
fabryka, leży naga prawda: kultura  
bez dotacji padnie. A to troska nie  
tylko animatorów i twórców, to tak-  
że kłopot odbiorców. Przerazają ceny  
książek, biletów do kina, a także w

empikach, w których za dostęp do pra-  
sy zagranicznej trzeba płacić. Czy w  
tej koczowniczo trudnej sytuacji istnie-  
je jakakolwiek koncepcja rozwoju  
kultury? Nie ma koncepcji, a rozwo-  
ju — jak nietrudno się domyśleć —  
nie będzie.

Na tej kanwie członkowie komisji  
rozważali kwestię: jak tę upokarzają-  
cą kwotę podzielić; czy rozdać spra-  
wiedliwie — wszystkim po trochu, czy  
też w podziale stawiać na najlepszych.  
A jeśli ten drugi wariant ma sens, to  
wobec tego bezlitośnie nasuwa się py-  
tanie: co zostawić, a co utopić? O to  
spytał dyrektor teatru dramatycznego,  
Rozhin, bez paniki, bo jego placówkę  
wzięła pod opiekunice skrzydła mini-

mi — jego zdaniem zamienić się w  
konserwatorów. Perspektywa koniecz-  
na. W porównaniu z wieloma innymi  
perspektywami, jakie w przeszłości ry-  
sowano przed kulturą (że w tej 5-  
-latce to już na pewno się poprawi),  
ta jest nie tylko konieczna, ale i prze-  
rażająco upokarzająca.

A może poddać kulturę hibernacji?  
I odmrozić w lepszych czasach? Ale  
czy wtedy będziemy jeszcze chcieli  
kupować książki, oglądać wystawy,  
chodzić na prasówkę do KMPIK?

Członkowie komisji zdecydowali w  
końcu wielogodzinnej debaty, że na-  
leży raz jeszcze rozpatrzyć projekt po-  
działu pieniędzy. Uczyni to specjalna  
komisja ekspertów, wyłoniona z ko-

## KULTURA: PRZYMIARKA DO TRUMNY?

Ewa Czerwińska

ster Cywińska, ale też wcale nie utwier-  
dzony w przekonaniu, że dotacja wy-  
starczy na długo i na wszystko.

Dyrektor Stowarzyszenia „Gardzie-  
nice”, Włodzimierz Staniewski, zapro-  
ponował zastosowanie wobec instytucji  
kryterium gospodarności — wyróżnić  
te, które najoszczędniej wykorzystują  
powierzone im środki. Tym właśnie  
— zdaniem Staniewskiego — należy  
dać więcej pieniędzy. Na poparcie te-  
zy, że i w kulturze można i trzeba  
ruszać głową, dyrektor „Gardzienic”  
opowiedział zebranym, jak to — re-  
zygnując z pośredników — przedsta-  
wicieli Stowarzyszenia sami jeżdżą po  
Polsce i załatwiają potrzebne do re-  
montu materiały. W wyniku czego —  
jest blacha i nie trzeba płacić marży.  
Opowiadanie Staniewskiego, zakończo-  
ne stwierdzeniem, iż pieniądze leżą na  
ulicy, trzeba tylko je podnieść (jak się  
umie i chce) odbiło się szmerkiem na  
sali („odkrył Amerykę”). Ale pan Sta-  
niewski był uparcie dociekliwy, nie  
dał się zbić z pantafelku i zapytał jesz-  
cze wojewódzkiego konserwatora za-  
bytków, czy dokładnie bada wysta-  
wiane przez firmy remontowe koszty-  
rysty.

Niewątpliwie czarna godzina wisi  
nad kulturą. Zeby ratować przynaj-  
mniej szczytki, trzeba, niestety, użyć  
skalpela. A jeśli tak, to wobec kogo.  
Bohdan Madej proponował wyciąć z  
materii kultury to, co jest zaledwie  
atrapą, a animatorzy kultury powin-

misji kultury. Jej członkowie ustala-  
ją hierarchię potrzeb żyjących oraz fun-  
dusz awaryjny. Wynik poznamy w  
końcu lutego.

I jeszcze słowo o „Relacjach”. Zo-  
staliśmy wywołani do tablicy przez  
red. Pawluczuka, który przez rok pra-  
cował w naszym zespole redakcyjnym  
(obecnie w „Rzeczpospolitej”). Nasz  
były kolega zapytał mianowicie dyr.  
Balawejdera, czy to prawda, że „Re-  
lacje” mają dostać kilkadziesiąt mi-  
lionów z puli budżetu wojewódzkiego,  
choć to przecież dotacja dla tej n-  
omenklatury. Odpowiedź uzyskał  
jasną — że owszem, dotację taką (30  
mln) już dostaliśmy w końcu ubie-  
głego roku i że była ona zaadresowa-  
wana konkretnie na nasz adres, w  
ramach pożyczki. W dodatku zamierza  
wsprzeć redakcję ponownie.

Sympatyczny ten przejaw troski red.  
Pawluczuka losami swojej byłej re-  
dakcji wzruszył mnie ogromnie i do-  
dał otuchy, że wśród podobnych mu  
przyjaciół nie zginiemy. Oni potrafili  
upomnieć się o nasze sprawy nawet  
wtedy, gdy nasz biznes przestał być  
już ich biznesem.

Ale największe podziękowanie nale-  
ży się Wydziałowi Kultury. Dotacja,  
którą wsparł nas dyr. Balawejder, o-  
gromnie przydała się w zmniejszeniu  
deficytu, jaki ciąży na naszym ty-  
tule.

w odwet za Borów i że wszystkich  
„Indyków-endeków” czeka to samo.

2. Wczorajem dn. 12/13.V.44 r. od-  
dział PPR pod d-twem Cienia bez  
uprzedzenia i pytania zaatakował  
wiad konny oddziału AK na gra-  
nicy wsi Majdan Starowiejski, Rud-  
niki i Dębina. Oddział por. Małego,  
ostłaniany zaatakowanym wiadem,  
przystąpił do akcji obronnej. Wy-  
wiązała się ostra walka, w czasie  
której pod ogniem oddziału por. Ma-  
łego oddział PPR-u porzucił tabor,  
a z nim zrąbany uprzednio sprzęt,  
należący do oddziału mjr. Zęba, oraz  
rzeczy będące własnością majątku  
Józefów. Rozproszony oddział PPR-u  
wycofał się w kierunku wsi Boża  
Wola i tam zgrupował się ponow-  
nie.

13-go nad ranem około godz. 3.30  
grupa Cienia rozpoczęła planowany  
atak na wieś Majdan Starowiejski i  
Dębina. Natrafiwszy na opór silny,  
wycofali się w kierunku wsi Boża  
Wola, zaciąwszy uprzednio pallé  
wieś Dębina, niszcząc ogniem 4 do-  
my, oraz zabili 2-ch ludzi z Majda-  
nu Starowiejskiego oraz 2 z Dębiny  
(Kaczmarek, Gnat, Dudziak, Ku-  
droł). Cofając się, niszczyli także  
wieś Boża Wola, pałac 11 gospo-  
darstw. W akcji obronnej wzięli u-  
dział: oddział por. Małego, cofający  
się oddział mjr. Zęba i część placów-  
ki Dębina. Oddział Znicza (NSZ)  
uchwylił 2-ch zbłąkanych z oddzia-  
łu PPR-u, których rozstrzelano (jed-  
nego powieszono na spalenisku).  
Straty własne: AK — bez strat,  
NSZ — 2 zabitych i 2 rannych.

Pod dokumentem widnieje data  
19.VI.44 i podpis oficera AK. Kilka  
dni później, jak podają dokumenty,  
Owczarnia została zbombardowana  
przez Niemców.

Do publikacji „Gwardia Ludowa i  
Armia Ludowa na Lubelszczyźnie  
1942—1944” (Lublin 1960) autorzy  
Zygmunt Mańkowski i Jan Nau-  
miuk wykorzystali dokument, które-  
go fragment chcielibyśmy zacyto-  
wać:

Lista przedstawionych do odzna-  
czenia Krzyżem Grunwaldu. Prze-  
słana przez Dowództwo Obw.

Do dowództwa Głównego AL.  
M.P. dn. 17 VII 1944 roku  
AL Dowództwo Obw.  
Dowództwo Główne AL Szef Sztabu  
[...]

14. Por. Cień [Bolesław Kowalski]  
w oddziałach partyzanckich od  
maja 1943 r., bardzo odważny, dobry  
d-ca, śmiały, energiczny, brał udział  
w wielu bojach z Niemcami i re-  
akcją [podkreślenie — OK i PK],  
z sytuacji naprawdę ciężkich potrafił  
wyprowadzić oddział z [bardzo] ma-  
łymi stratami.

Zastępca Dowódcy Obw. AL Szef  
Sztabu Obw. II.  
Grab (Jan Wyderkowski) mjr.

Wyżej wymienione „zastugi” Bo-  
lesława Kowalskiego w walce z  
„reakcją” nie były jedyne.

Olga Koryzna  
Piotr Kononowicz  
Lublin

## INFORMATOR KULTURALNY

### TEATRY

#### W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 15—18.02 godz.  
18: „Lwów”. Scenografia i reżyseria  
Andrzeja Rozhina. 20—21.02 godz. 18:  
„Czego nie widać” Michaela Frayna;  
reż. Andrzej Zaorski.

Teatr Lalki i Aktora: 15—16.02 godz.  
10, 12; 17—18.02 godz. 12; 20—21.02  
godz. 10, 12 (Puławy, Dom Chemika):  
„Słownik”, baśń H. Ch. Andersena;  
reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 15.02; 17—18.02 godz.  
19: „Paganini” F. Lehara. 20.02 godz.  
10, 12.30; 21.02 godz. 10: „Czarodziej-  
ski pierścień” L. Kaszyckiego; reż.  
Zbigniew Czeski.

### MUZYKA

#### W LUBLINIE

Filharmonia — 16.02 godz. 19; 17.02  
godz. 18 — koncert symfoniczny.  
Wykonawcy: Orkiestra Państwowej  
Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją  
Piotra Komorowskiego oraz Paweł  
Skrzypek (fortepian). W programie:  
II Koncert fortepianowy g-moll Pro-  
kofiewa, I Symfonia C-dur Beetho-  
vena.

### WYSTAWY

#### W LUBLINIE

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej  
kołoda, kołoda...” (zimowe zwyczaje  
ludowe).

Galeria Labirynt (ul. Grodzka 3) —  
wystawa prac i Performance Andrze-  
ja Dudka-Dürera pt. „Meta... trips...  
arts... VIIIID”. 15.02 godz. 19 — pre-  
zentacja dokumentacji Andrzeja  
Dudka-Dürera.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) —  
15.02 godz. 18 — otwarcie wystawy  
Zofii Kulik pt. „Motyw ludzki”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) —  
16.02 godz. 18 — otwarcie wystawy  
Jerzego Beresia pt. „Zwidy — wy-  
rocznie — ołtarze”.

Sala widowiskowa BWA (ul. Grodzka  
5a) — 21.02 godz. 18 — Performance  
Jana Świdzińskiego pt. „Rozmyślenia  
przy śniadaniu”.

Galeria NOVA (ul. Grodzka 5) — wy-  
stawa prac Jerzego Kostki.

Dworek Wincentego Pola — wystawa  
pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejsz-  
ner — pierwsi profesorowie nauk o  
Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) —  
wystawa malarstwa Jana Ziemińskie-  
go.

#### W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki — wystawa malarstwa  
na szkło Marka Leszczyńskiego pt.  
„Madonny”.

#### W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Ryszar-  
da Kalamasza.

## Konkurs literacki

Dom Kultury Lubelskiej Spółdzielni Miesz-  
kaniowej ogłasza doroczny konkurs literacki  
dla młodzieży uczącej się i pracującej na  
Lubelszczyźnie. Tematyka konkursu jest  
dowolna. Na konkurs należy nadesłać pięć  
wierszy lub opowiadanie (do dziesięciu  
stron maszynopisu) ewentualnie czytelny  
rękopis. Każdy tekst opatrzony godłem na-  
leży umieścić w zamkniętej kopercie, wew-  
nątrz niej autor winien zamieścić informac-  
ję zawierającą: godło, imię i nazwisko,  
wiek, adres zamieszkania, miejsce nauki  
lub pracy.

Do oceny prac konkursowych organizato-  
rzy powołają jury, w skład którego wejdą  
znani pisarze i krytycy literaccy.

Teksty, w trzech egzemplarzach każdy,  
należy nadesłać do dnia 30 kwietnia 1990  
roku pod adresem: Dom Kultury Lubelskiej  
Spółdzielni Mieszkaniowej, 20-607 Lublin,  
ul. K. Wallenroda 4a z dopiskiem: Konkurs  
literacki.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi dnia  
20 maja 1990 roku — niedziela, godz. 12.00,  
sala nr 8.

## OGŁOSZENIA DROBNE

### RÓŻNE

ANTENY telewizyjne: wyrób,  
sprzedaż, instalacje ekspres-  
we. Poczta — pawilon.

154/G-10

### SPRZEDAŻ

VOLVO po wypadku, tel.

71-37-52 — wieczorem.

1499/G

PUSTAKI, cementosilos, 268-11.

1683/G

SPRZEDAM trabanta (1989).

Zamienię na ciągnik. Lublin,

tel. 55-51-22. 1568/G

## LISTY

### „Owczarnia 1944”

Dokończenie ze str. 2

nie przyjeżdżał do oddziału, utrzy-  
mując z nim dobre stosunki, zaczęli  
wolać, by zaprzestać ognia, gdyż to  
są swol; sądzono ogólnie po stronie  
AK, że zaszła pomyłka. Po przerwa-  
niu walki Cień zaproponował, by za-  
rządzić zbiórkę obu oddziałów dla  
stwierdzenia strat. Okazało się, że z  
oddziału Cienia poległo 6-ciu na-  
pastników, podczas gdy w oddziale  
[AK] byli tylko ranni. Cień zażądał  
zdania broni, a gdy odmówiono, jego  
ludzie otworzyli ogień z broni ma-  
szynowej na stojących w dwusze-  
regu żołnierzy AK. Z około 50 ludzi  
padło 18-tu, inni zbiegli lub będąc  
rannymi, pochowali się po domach.  
Następnie grupa Cienia rzuciła się  
do „oczyszczania” terenu, poszuku-  
jąc rannych. I tak wdarł się na  
strych domu, gdzie schroniła się  
większa grupa rannych z sani-  
tariuszką, która tłumaczyła, że nie  
godzi się dobijać rannych, pozosta-  
will żołnierzy AK w spokoju, zabie-  
rając im jednak porządniejsze buty  
i odzież. Swoich ciężko rannych ko-  
munistów podbijali. Przeprowadzając  
po mieszkaniach rewizję za przed-  
miotami pozostałymi po zabitych  
żołnierzach O.L., mówili ludności, że  
czynu tego dokonali na „Indykach”

## CZWARTEK

15 LUTEGO

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Łatwy przerzut” — serial krym. prod. USA  
10.10 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim „Ordy” — serial anim. prod. japoń.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Poligon — magazyn wojskowy  
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 Interpelacje (1)  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Łatwy przerzut” — serial krym. prod. USA  
20.55 Interpelacje (2)  
21.35 Sport  
21.45 Lex — magazyn społeczno-prawny  
22.30 Wiadomości wieczorne  
22.45 Pegaz  
23.30 Jutro w programie

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Psychostudio  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program na życzenie  
19.30 Zielone kino: „Morfologia i fizjologia owadów”  
20.00 Wielki sport  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Pery z lamusa: „Człowiek w białym garniturze” — komedia prod. ang.  
23.15—23.20 Komentarz dnia

## PIĄTEK

16 LUTEGO

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Słynne historie zbrojeckie” — odc. 1 pt. „Więzień Salwador” — film fab. prod. czech.  
10.25 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport  
17.55 „Tryptyk biecki” — cz. 3 pt. „Wiesław” — film dok.  
18.25 Rzeczpospolita samorządna — program public.  
18.45 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Casanova 70” — film fab. prod. wł. Reż. Mario Monicelli  
22.00 Sport  
22.10 Oferty „Pegaza”: Moda i styl  
22.30 Wiadomości wieczorne  
22.45 Jutro w programie  
22.50 Spór o jutro: Otwarte studio

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Wzrockowa kłosa przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 O czym się mówi  
18.50 Fason — program rozrywkowy  
19.30 Dookoła świata: W Sudanie  
20.00 Piątek — magazyn z Krakowa  
21.30 Panorama dnia  
22.00 „Dom na wydmach” — film fab. prod. franc.  
23.15 Komentarz dnia  
23.20—23.40 Ekspres gospodarczy

## SOBOTA

17 LUTEGO

## PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce

8.20 Na zdrowie  
8.40 Ziarno — program Redakcji Katolickiej dla dzieci  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Heidi” (1) — serial prod. RFN.  
10.30 Wiadomości poranne  
10.40 „Azjatycka mozaika” — odc. 3 „Modlitwy lamów” — serial dok. prod. franc.  
11.05 Małe formy muzyczne — gra Orkiestra Koncertowa Wojska Polskiego  
11.35 Z Polski rodem — magazyn polonijny  
12.05 „Nikaragua” — film dok.  
12.40 „Boże, coś Polskę...” — pieśni Powstania Styczniowego  
13.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Miłkołaj Gogol — „Martwe dusze”  
15.00 Być reporterem: Wiesław Maciejewski — film dok. Marka Wójcika  
15.25 Filmy o miłości: „Ruchome piaski” — prod. pol.  
16.40 Rewizja nadszycza  
17.15 Teleexpress  
17.30 Nie chcę żadnego jubileuszu — Mira Zimińska-Sygietyńska  
18.30 Butik  
19.00 Dobranoc  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt  
19.30 Wiadomości  
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Yentl” — film prod. USA  
22.20 Sport  
22.40 Piosenki Michała Bajora  
23.20 Telegazeta i jutro w programie  
23.30 Kino sensacji: „Ucieczka z Nowego Jorku” — film prod. USA

## PROGRAM II

13.00 Konkurs 5 milionów  
13.45 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych  
14.10 Dinozaury — australijska relacja o amerykańskich wykopaliskach  
14.15 „Okavango — klejnot Kalahari”: „Nowe wyzwanie” (1) — serial dok. prod. ang.  
14.45 Spektrum  
15.00 Kuszenie wyobraźni: „Duma” — film dok.  
15.35 Batony cholybar — nowość w dziedzinie walki z chorobami  
15.40 Meandry architektury  
16.00 Tylko dla zwierząt — japoński cmentarz dla zwierząt  
16.10 Powitanie  
16.15 „Ordonka” — fragm. koncertu (cz. 2)  
17.30 Studio sport: Halowe Mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Wielka gra — teleturniej  
19.30 Coś zmienić — reportaż Marka Nowakowskiego  
20.00 Filharmonia „Dwójki”: „Symfonia Alpejska” Ryszarda Straussa.  
21.00 Muzyka i polityka: „Pod Twoją obronę”  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W ojczyźnie serce me zostało” — reportaż  
22.20 „Znowu w Brideshead” (7) — serial fab. prod. ang.  
23.10—23.15 Komentarz dnia

## NIEDZIELA

18 LUTEGO

## PROGRAM I

8.55 Program dnia  
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Emil z wioski Lönneberga” (1) — serial prod. szwedzkiej  
10.30 Wiadomości poranne  
10.35 „Rybołów” — film przyr. prod. ang.  
11.30 Kraj za miastem  
12.00 Poranek symfoniczny WOSPR iTV  
13.00 Teatr dla Dzieci: Kornel Makuszyński — „Awantury i wybrki małej małpki Fiki-Miki”  
13.40 Morze — magazyn public.  
13.55 Telewizyjny koncert życzeń  
14.40 Świat umykający (2)  
15.10 Antena  
15.35 „Panna dziedziczka” (40) — serial fab. prod. brazyl.  
17.15 Teleexpress

17.30 „Powrót Odysa” — film dok. Andrzeja Sapii o Tadeuszu Kantorze  
18.30 Sportowa niedziela  
19.00 Wieczorynka  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Północ — Południe” (1) — serial fab. prod. USA  
21.40 Siedem dni: Świat  
22.10 Sport  
22.50 Premiery po latach: „Początek dekad”. Reż. Andrzej Androchowicz  
23.40 Jutro w programie

## PROGRAM II

8.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)  
9.10 „Północ — Południe” (1) — serial fab. prod. USA (dla niesłyszących)  
10.40 „Twierdza Przemyśl” — film dok.  
11.20 Lokalny koncert życzeń  
11.45 Jutro poniedziałek  
12.15 Powitanie  
12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 Kino familijne: „Bajaz” — odc. 8 pt. „Dziecko szczęścia” — serial prod. ang.  
12.55 „Andrzeja Pągowskiego — miasto plakatów” — film dok. Franciszka Kuduka  
13.20 Gość „Dwójki” — Andrzej Pągowski  
13.35 100 pytań do...  
14.15 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem  
14.30 „Polacy” — Lech Kobylński — film dok.  
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Ludzie fok” — odc. 2 pt. „Eskimoskie lato” — film dok. prod. kanad.  
16.05 Biografie: „Norman Mailer” — film dok.  
17.00 Moto-sport  
17.30 Bliżej świata  
19.00 Konflikty narodowościowe — program z udziałem korespondentów zagranicznych  
19.30 Galeria „Dwójki”: Włodzimierz Szymański  
20.00 Studio sport: Piłka w grze  
21.00 Mistrzowie współczesnego kina — Miklos Jancso  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kawiarnia „Zart” sp. z o.o., czyli wszystkie chwytły dozwolone — program rozrywkowy  
22.30 „Natica Jackson” — film fab. prod. ang.  
23.20 Komentarz dnia  
23.25—23.20 Akademia wiersza

## PONIEDZIAŁEK

19 LUTEGO

## PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Luz — program nastolatków  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gorące linie  
18.00 Wędrowki dalekie i bliskie: „Czarodziejkie kółka” — film dok. prod. szwajcarskiej  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 W Sejmie i Senacie  
19.30 Wiadomości  
20.05 Teatr poniedziałkowy: Eustachy Ryłski — „Chłodna jesień”  
22.00 Sport  
22.10 Kontrapunkt  
22.40 Wiadomości wieczorne

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
17.45 Ojczyzna — polszczyzna  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Zmagania o Polskę (7) — „Sprzątacze placów” — serial dok. prod. ang.  
19.20 Dziś premiera: „Chce mi się wyć” — film w reż. Jacka Skalskiego  
19.30 Życie muzyczne  
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub  
20.30 Osądźmy sami  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Recital Romana Lasockiego — laureata „Złotego Ekranu”  
22.05 „Heimat” — serial prod. RFN  
23.05 Komentarz dnia

## WTOREK

20 LUTEGO

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (4) — „Adieu Claire” — serial obycz. prod. RFN  
10.25 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak  
16.50 Kino Tik-Taka: „Opowieści byczka” — serial anim. prod. japońsko-holenderskiej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spojrzenia  
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka  
18.15 System: Telekomunikacja  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 Obok nas: Punkt zwrotny  
19.30 Wiadomości  
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (4) — „Adieu Claire” — serial obycz. prod. RFN  
21.15 Sport: Mistrzostwa Świata w biathlonie — Mińsk '90  
21.45 Listy o gospodarce  
22.20 Kinomania  
22.40 Wiadomości wieczorne

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Klub ludzi z przeszłością  
18.00 Program lokalny  
18.30 Modlitwa wieczorna  
18.50 Program public.  
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski  
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego: Barysznikow  
21.00 Program publ.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Choinka strachu”  
22.40 Komentarz dnia.

## ŚRODA

21 LUTEGO

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Właściciel warsztatu samochodowego” — film fab. prod. czech.  
10.25 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie  
16.50 Dla dzieci: Cojak — teleturniej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gry wojenne  
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy  
18.15 Dawniej niż wczoraj  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 Plus — minus — program public.  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Dziecinne pytania” — film fab. prod. pol.  
21.45 Sport  
21.55 „Noc kolibra” — film dok. prod. ang.  
22.55 Wiadomości wieczorne

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Magazyn „102”  
19.00 „Pokój niżej” (7 — ostatni) — „Zimowa ramówka” — serial komedii-wy prod. ang.  
19.30 Zwierzęta wokół nas  
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF  
20.40 Przegląd muzyczny  
21.00 Ze wszystkich stron: Duesseldorf — miasto biznesu — reportaż  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” (3) — serial prod. RFN  
22.45 Telewizja nocą  
23.30 Komentarz dnia  
23.35 Express gospodarczy

relacje



ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY  
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE



WYDAWCA Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”



DRUK Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Ogłoszenia przyjmują: redakcja oraz Biuro Ogłoszeń i Reklam. 20-950 Lublin, al. Raclawickie 1, tel. 214-23, 200-61 w. 343.

Zam. 127. 5.02.1990 r. O 4

## AD VOCEM

## RELACJE

19 STYCZNIA br. minęła pierwsza rocznica istnienia „Relacji”, ale przypominający o tym artykule ukazał się pod mało świątecznym tytułem: „Relacje — groźba likwidacji” (nr 4/90). Z obu tych okazji, tj. jubileuszowej bądź pogrzebowej, warto w każdym razie zatrzymać się nad samymi relacjami i „Relacjami”.

Relacje są oczywiście pochodzenia łacińskiego i wywodzą się od czasownika „refero” (retuli, relatum) — przenosić wiadomości, opowiadać, zawiadamiać, przedstawiać sprawozdanie. Oznacza więc „relatio” opowiadanie, sprawozdanie, przekazanie wiadomości.

Związany z tym znany zwrot „relata refero” — powtarzam to, co mi opowiedziano — pełni natomiast funkcję autorskiego zastrzeżenia, iż przekazująca wiadomości nie bierze odpowiedzialności za wiarygodność przekazu. Sformułował je po raz pierwszy (po grecku: légein ta legómena) historyk Herodot. pisząc w swych „Dziejach”, że: „podać muszę to, co się opowiada, ale nie zawsze muszę sam w to wierzyć”. Czy „Relacje” stosują tę regułę, niech osądzą czytelnicy.

Z „refero” i „relatio” spokrewnione są również referat i referowanie, ale czas znanych zebraniowych referatów jakby mija; zastępują je na razie wyławne wystąpienia posłów i senatorów, kierowane do narodu i telewizji. Nie są to najlepsze wzory, a zatem referenta (łac. relator) i referaty z „Relacji” wyłączamy.

Łacińskie „relatio” oznacza również „składać raport”, a stąd już blisko do podobnego terminu, a mianowicie „delatio”. Oznacza on przede wszystkim doniesienie lub — krócej — donos. Czy zachodzą jakieś relacje między „Relacjami” a delacjami? Oczywiście tak, bo doniesienie o likwidacji „Relacji” okazało się raczej donosem niż relacją.

A jeśli myślę się w tych ocenach i relacjach? No cóż, sam też przekazuję tylko to, co się opowiada — relata refero!

Arcus M.

## W NASTĘPNYM NUMERZE OPUBLIKUJEMY:

- WYWIAD Z WŁADY-SŁAWEM SIŁĄ-NOWICKIM ● UCZONY U WŁADZY ● „PO CO MI TO BYŁO” ● NIEWIADOME ● PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW ● ODDAJCIE NAM NASZE ULICE! ● HOROSKOP ● PROGRAM TV

## LISTY

Ludzie zawsze musieli się wygadać. Mieli starożytni Rzymianie Forum Romanum, mieli Grecy gaje oliwne, mają Anglicy Hyde Park. My mamy zebrania. Różnica polega na tym, że tam mówca był i jest skazany na łaskę słuchaczy. U nas skazany jest słuchacz...

Zebraniowa społeczność dzieli się z grubsza na trzy kategorie: prezydium, złożone z bardzo ważnych osób, zwanych dalej z angielska VIP, mówców, zwanych też dyskutantami, oraz słuchaczy. Wśród tych ostatnich można wyróżnić: tych, którzy wierzą, że czegoś się dowiedzą, tych, którzy mają nadzieję, tkwią przy długich zazwyczaj stołach, uzbrojeni w bloki (malarstwo konferencyjne!), prasę, szarady, krzyżówki oraz listy zakupów, które trzeba będzie zatłwić, gdy się wyśkokoczą z zebrania albo zaraz po obiedzie, na który otrzymano się stosowny talon.

Są i zawsze będą zebrania fascynujące, twórcze, porywające autorytetem organizacji je zwołującej, prowadzone przez wybitne indywidualności nadające ton i tok obradom, wreszcie elektryzujące tematami porządku dziennego. Ale są i takie, bez których Rzeczpospolita naprawdę mogłaby się obejść, a jej kiesza zaoszczędzić na delegacjach, obiadach, kosztach wynajmu sal i ich obsługi. Ich temat nie rusza z posad bryły świata, a dokonane przez referenta i ewentualnie koreferenta tzw. wprowadzenie nie wznieca iskry twórczego zapалу i nie wzbija kaskady pomysłów czy projektów, lecz co najwyżej wspina do boju krasomówców. Tych, którzy w pierwszych słowach przedstawiają swoje życiorysy, zasługi, medale i odznaczenia. Tych, którzy zostali wydelegowani i muszą zabrać głos, żeby mieć się z czego rozliczać. Tych, którzy pragną się podzielić (doświadczeniami, wspomnieniami). Tych, którzy od wielu lat nie zostali wysłuchani i ciągle wierzą, że uda się właśnie dziś...

Nie bacząc na boleściwe miny VIP-ów z prezydium, którzy wiedzą, że nie da się zatłwić, a podsumować trzeba: nie zważając na opadające ciężko powieki sąsiadów, krasomówca tokuje, sięgając po coraz efektywniejsze metafory lub cytując frazesy będące już swoistą klasyką. Najwyższe loty osiąga

w obecności ważnych person oraz przy gęstej obsłudze prasowej. Przeciska się wówczas ku „mas, medium” i pyta: „Kiedy to się ukaże?”, dając subtelnie do zrozumienia, że jego głosu pominąć nie wolno!

Dlatego obecność prasy jest statym elementem dekoracji zebrania, o który ich organizatorzy dopominają się i upominają niesfornych sprawozdawców unikających „nasiadówki” jak ognia. Nie są w tych opiniach odosobnieni,

Dlatego po prostu, że bardziej potrzeba nam działań niż zebrania, a działaczy — bardziej niż gadaczy. Nielatwo będzie o metamorfozę, ponieważ przez całe lata sprawdzianem przynależności, siły ideowej i autorytetu organizacji czy instancji było zebranie. Ponieważ etatowego gadacza kreowano na działacza. Ponieważ od „słusznej”, odnotowanej na łamach i wymienionej w podsumowaniu dyskusji, wypowiedzi zaczynały się kariery. Aktualnie —

## HYDE PARK PO POLSKU



koniec strony by © L.F. 17

Krys. Lucjan Furmaga

czytelnicy bowiem rzadko kiedy dają się zafascynować sprawozdaniem z obrad, z udziałem itp. Mają zebrania po uszy do tego stopnia, że nawet gdy chodzi o ważne dla ich samych sprawy, nie reagują na zaproszenia do np. spotkania z radnymi, postami czy senatorami. Za to przy maszynach, w kolejkach, na ulicach, po obejrzeniu dziennika telewizyjnego komentują: „Gadają tylko i gadają”!

Model zebrania, któremu przypisywano moc sprawczą, musi się zmienić.

model działacza — wiecznie mającego słuszną w dyskusji, ogad działacza — urzędnika organizacji musi zastąpić model człowieka czynu, który mało mówi, za to dużo robi. A nasi złotouści kaznodzieje? W Związku Radzieckim podobno myśli się o swojskim Hyde Parku. Może by tak i w Rzeczypospolitej Polskiej...?

Zbyszko Hołodiuk  
Bytom

## HOROSKOP JAPONSKI - WEDŁUG CHIBA REIKO (2)

### Tabela znaków i lat urodzin

Szczur: 1900, 1912, 1924, 1936, 1948, 1960, 1972, 1984, 1996.

Wół: 1901, 1913, 1925, 1937, 1949, 1961, 1973, 1985, 1997.

Tygrys: 1902, 1914, 1926, 1938, 1950, 1962, 1974, 1986, 1998.

Zając: 1903, 1915, 1927, 1939, 1951, 1963, 1975, 1987, 1999.

Smok: 1904, 1916, 1928, 1940, 1952, 1964, 1976, 1988, 2000.

Wąż: 1905, 1917, 1929, 1941, 1953, 1965, 1977, 1989.

Koń: 1906, 1918, 1930, 1942, 1954, 1966, 1978, 1990.

Owca: 1907, 1919, 1931, 1943, 1955, 1967, 1979, 1991.

Małpa: 1908, 1920, 1932, 1944, 1956, 1968, 1980, 1992.

Kogut: 1909, 1921, 1933, 1945, 1957, 1969, 1981, 1993.

Pies: 1910, 1922, 1934, 1946, 1958, 1970, 1982, 1994.

Dzik: 1911, 1923, 1935, 1947, 1959, 1971, 1983, 1995.

### ROK WOŁU

Ludzie urodzeni w tym roku są bardzo uczciwi i małowówni. Posiadają dar wzbudzania zaufania u innych, i to pozwala im wielokrotnie osiągać sukcesy. Są jednak ekscentryczni i biogoteryjni. Jeśli ktoś ich nie lubi, to tylko za to.

Mimo ogromnej cierpliwości i powściągliwości, paradoksalnie łatwo złością się i okazują to. Rozsądek nakazywałby wówczas usunąć ich się z drogi, bo potrafią być bardzo szorstcy i obcesowi.

Posiadają czujność umysłu i — zmuszeni do mówienia — wykazują się nieraz niespodziewaną elokwencją. Są zreční aż do geniuszu.

Mimo spokoju i niekłopotliwego sposobu bycia bywają wybitnie uparci i nie cierpią, kiedy rozpoczęte przez nich dzieło kończy się fiaskiem. Gdyby się im sprzeciwić, kiedy pracują nad projektem będącym przedmiotem ich specjalnej uwagi, cierpliwość ich maleje gwałtownie i robią się nagle bardzo nieprzejemni.

Uczucia między kobietami i mężczyznami uważają za rodzaj gry, której sami nie rozumieją, i ten ich rodzaj chłodnej postawy powoduje trudności, jakie miewają w życiu emocjonalnym i rodzinnym.

W pierwszej fazie życia będą ogólnie szczęśliwi. Druga faza jest niekorzystna — pojawiają się trudności w rodzinie lub małżeństwie, i w tej właśnie fazie mogą utracić szacunek otoczenia. Na szczęście w trzeciej fazie wszystko, co szorstkie, ulegnie złagodzeniu.

Małżeństwo jest dla kogoś urodzonego w roku Wołu sprawą dość osobliwą. Najlepiej gdyby je zawarł z kimś z roku Węża, Koguta, Szczura, a w następnej kolejności — z roku Wołu, Smoka, Zająca, Małpy lub Dzika. Partner urodzony w roku Konia lub Psa jest tu odradzany, a wybitnie złym wyborem byłaby osoba z roku Owcy.

### ROK TYGRYSA

Człowiek urodzony w roku Tygrysa jest wrażliwy, ma gwałtowne usposobienie, oddaje się głębokim rozmyśleniom i jest zdolny do wielkiego współczucia w stosunku do tych, których lubi.

Inni odczuwają przed nim respekt, zdarza się jednak, że popada on w konflikt z osobami starszymi lub posiadającymi większą od niego władzę. Na ogół ludzie obdarzają go większym kredytem zaufania, niż na to zasługuje, czasami przeceniają jego osiągnięcia.

Ktoś urodzony w tym roku nie umie podejmować szybkich decyzji, i często, bardzo ważne nawet, odkłada aż do chwili, kiedy jest już za późno, by zdecydować dobrze. Myśli trochę zbyt ciasno i jest bardzo podejrziły w stosunku do innych. Jest odważny, ale także samolubny i trochę małoduszny.

W Azji, zwłaszcza w Japonii, uważa się, że dla mężczyzny jest rzeczą bardzo pomyślną urodzić się w roku Tygrysa, ponieważ wierzy się, że tygrys reprezentuje największą siłę ziemską i jest znakiem opieki nad życiem ludzkim. Tygrys odpedza „trzy nieszczęścia”: złodziei, pożary i duchy.

Pierwsza i trzecia faza życia Tygrysa będzie spokojna i łatwa. Druga jest tą, która sprawi mu najwięcej kłopotu i jeśli nie upora się on z pojawiającymi się w niej problemami, to mogą się one przenieść i w trzecią, ostatnią fazę.

Najlepsi partnerzy w małżeństwie to osoby z roku Konia, Smoka lub Psa. Szczur, Wół, Zając, Tygrys, Owca, Kogut i Dzik — to także dobry wybór. Nieudane będzie małżeństwo z osobą z roku Węża lub Małpy.

(cdn.)

Kimi